



DATA WYDANIA 20.01.2011 R.

## WSTĘPNIAK

Święta, święta i po świętach. Witamy Was w kolejnym numerze naszej gazetki. Najwyższa pora pozdejmować z balkonów świąteczne ozdoby i zająć się w końcu nauką. Jednak pamiętajcie, że HenryNews istnieje, aby uprzyjemnić Wam długi, ośmiogodzinny dzień. Na szczęście już niedługo przyjdą i ferie w naszym województwie, więc wystarczy przeżyć tylko następny miesiąc i cieszyć się względną wolnością.

Do najnowszego numeru zgłosiło swoje artykuły wielu autorów niezależnych – to dla nas swego rodzaju gratyfikacja, że wybraliście naszą gazetkę. Oprócz tego znajdziecie stałe działy takie jak: „Z życia szkoły”, „Felietony”, „Recenzje”, czy „Twórczość własna”. W tym miesiącu mamy też dział „Kultura” – myślę, że warto do niego zajrzeć – oraz „Z ostatniej chwili”.

(Oby) miłego czytania!

Redaktor naczelny,  
Krzysztof Konstantinow

# W tym numerze

Wstępniak 1

## Z życia szkoły

Koncert: syndrom uciezki, stres i poczucie spełnienia, 3-10  
Wymiana – Polacy w Holandii 11-13  
Sinterklassowe mikołajki 14-15  
Dzień Kultury Francuskiej 16  
Szkłana panienka 16

## Felietony

Chaos Theory 17-18  
Noworoczne postanowienia 18-19  
O Księciu słów kilka 19-20  
W świecie kultury, kuchni i muzyki 20-22  
Żeglarstwo – nie tylko sport 22-25

## Kultura

Problemy z lekturami 25  
Chaos w muzyce 26-27  
Słoneczne reggae, przygoda na Jamajce? 27-28  
Polska niewstydliva scena muzyczna 29-30  
Wielogłos o „Metrze” 31-33

## Recenzje

Bez pożegnania 34  
Kobieta na Marsie,  
mężczyzna z Wenus 35  
Gwiazdny Pył 36-37  
Marzyciel 37  
Cudowne dziecko 38  
Skazani na Shawshank 39-40  
Zły 40-41

## Twórczość własna

10 sekund 42  
Krzyk 43  
Ego Id Superego 44  
Wielka Improvizacja 45  
Monolog Hamleta 46  
Płaszcz i okulary 47-48

## Z ostatniej chwili

Muzyka AD 2010 49-51

## Koncert: syndrom ucieczki, stres i poczucie spełnienia



Kilka tygodni po nim emocje opadły i ciężko go zrelacjonować, opisać – z drugiej strony po co to robić? Kto chciał, ten oglądał i słuchał, kto nie – przede wszystkim niech się nie przyznaje, a poza tym mocno żałuje, bije w pierś/si i głośno rozpacza. Co sądzą o nim – koncercie – jego uczestnicy, a także sami widzowie?

Przygotowanie koncertu od strony muzycznej, śmieiej – najważniejszej i z pewnością najbardziej pracochłonnej, było... No właśnie, jakie? Kilka szczegółów (też z prac) zespołu zdradza **Michał Brożyna**, jeden z głównych jego bohaterów: *Koncert, który odbył się 17.12.2010 r., był dla mnie jednym z największych wyzwania. Wcześniej zajmowałem się aranżacją muzyczną spektakli, ale dla mniejszej publiczności, no i grania było mniej (teraz 13 piosenek, zwykle jest ok. 7). Planowanie koncertu – dobór piosenek, miejsca, zespołu –*

*zaczęło się już we wrześniu. Mimo że wszystko było ustalone w październiku, to za konkretną robotę wzięliśmy się dwa tygodnie przed koncertem. Na próbach atmosfera była całkiem sympatyczna, ale lekko nerwowa – wiadomo, czas gonit a coś zawsze nie wychodziło. Czasami było ciężko (tu chcę pozdrowić Pereza, który jak zwykle brylował znajomością formy i funtów). Nadeszła próba generalna, no i przelot. Piosenki, które nie wychodziły, zostały zagrane w sposób, jaki mógłbym nazwać lekko zadziwiającym – naprawdę brzmiały dobrze. Próba generalna została zakończona optymistycznym akcentem, który być może przyczynił się do tego, że koncert wyszedł całkiem dobrze. Przed koncertem wspólna motywacja. Potem tylko 3, 2, 1. Tak to już jest. Pierwsza piosenka, potem następna. Naprawdę grało mi się dobrze. Na backstage’u atmosfera, którą można nazwać: „Ale ludzie... nie można skwasić”. Mimo dużej liczby widzów, która mnie lekko zadziwi-*

*ła, chciałem grać jeszcze lepiej, dać z siebie więcej. Cały zespół starał się jak mógł, każdy włożył ogrom pracy w przygotowanie tego koncertu (jeszcze raz wielkie dzięki dla instrumentalistów, kochanych wokalistek i jednego niezawodnego wokalisty). Kiedy zagraliśmy finałową piosenkę, zacząłem żałować. Że koniec, że już po wszystkim. Cały ten żal i w pewnym sensie ból rekompensują gratulacje, brawa a w tym przypadku szczytny cel, na jaki graliśmy. Często ludzie pytają: „Nie boisz się? Przecież tylu ludzi patrzy?”. Szczerze mówiąc, bałem się bardziej, że może coś nie wyjść, że zespół popełni błąd, że koncert nie wyjdzie, że nikt nie przyjdzie czy tego, że ludzie zaczynają wychodzić. Jednak (z tego, co słyszałem) koncert okazał się dużym sukcesem. Wszystkim naszym sympatykom chcę powiedzieć, że może jeszcze coś nowego wymyślimy. Mimo ogromu pracy, jaki włożyliśmy w koncert (uwierzcie, roboty było w przysłowiową „pytę”),*

## Z życia szkoły

chcemy zrobić kolejny, jeszcze lepszy.

Do wszelkich trudności, z którymi musieli radzić sobie uczestnicy koncertu, możemy dodać także tę, na którą często nie mamy wpływu, a która boli najbardziej – ironię losu. **Łukasz Szostek**, jedyny wokalista zespołu, na kilka dni przed koncertem zachorował. Jakie jest jego zdanie odnośnie koncertu?:

*Z perspektywy czasu uważam, że warto było zrobić taki koncert, pokazaliśmy przez to, że potrafimy też pomagać, potrafimy coś stworzyć, co w jakimś stopniu pomoże małemu chłopcu. Jestem trochę zły na samego siebie, że akurat w takim momencie zachorowałem i miałem problemy z gardełkiem. Co do występu, to*

*oczywiście zawsze mogło być lepiej, zawsze będzie niedosyt, ale ogólnie uważam, że wszystko wyszło bardzo dobrze. Powiem szczerze, że jakimś cudem wydobyłem z siebie jakikolwiek głos, bo dzień wcześniej nic nie mogłem mówić i tak naprawdę w ostatniej chwili przyjechałem na generalną próbę. Cieszę się, że mimo niedyspozycji mogłem pomóc chłopcu. Cieszę się, że nauczyciele wzięli udział w koncercie, dzięki czemu pokazaliśmy, że nauczyciel i uczeń, gdy się dobrze rozumieją, potrafią razem stworzyć coś pożytecznego. Co mnie zaskoczyło? Na pewno duża ilość osób, które postanowiły przyjść na koncert. Dzięki nim wiemy, że nic nie poszło na marne. Muzycy i aktorzy stworzyli niez-*

*pomniany wieczór. Myślę, że powinniśmy częściej organizować takie wydarzenia – zbierać pieniądze na rzecz chorych dzieci.*

Najmłodszy członek zespołu, basista **Przemek Sawicki**, również wypowiada się w samych superlatywach i ma podobne odczucia co „rutyniarz” Łukasz: *Wrażenia bardzo pozytywne. To był mój pierwszy koncert przed sporą wi-*



*downią, gdzie grałem więcej niż 4 czy 5 piosenek. Szczególnie zaskoczyła mnie publika, a raczej jej ilość. Stresu było sporo, ale udało się go opanować. Wielkie podziękowania i słowa uznania z mojej strony dla nauczycieli, którzy mieli tylko 1 próbę, a jednak dali radę. Prób było dosłownie kilka i aż do generalnej obawiałem się, czy ten koncert wypali. Ostatnia próba rozwiązała jednak moje wątpliwości. Wszystko było świetnie. Nawet jeśli coś poszło nie tak, jak chcieliśmy, to ten koncert był wspaniałym przeżyciem. Chciałbym to po-*

W nowej roli wystąpił **Krzysztof Konstantinow** i swój występ również może uważać za udany. Złe dobrego początki? W tym przypadku to złoliwość rzeczy martwych zrobiła mu niemiłą niespodziankę i z pewnością mocno zestresowała. Dał radę: *Do tej pory zajmowałem się konferansjerką. Teraz byłem w sekcji muzycznej, tu sprawa wyglądała trochę inaczej).* Prowadzącym był Michał Brożyna,

*on nam mówił, jak mamy grać, on nami, że tak powiem, dyrygował, od niego – powiedzmy – zależało to, jak występ, od strony muzycznej, będzie wyglądać. Stres był, to oczywiste, szczególnie, że teraz występowaliśmy przed większą publicznością niż zwykle, jednak po kilku wyjściach na scenę już go tak troszkę zniwelowa-*

*łem. O tym, że coś się popsuje, nie myślałem w ogóle, akurat los tak chciał, że właśnie to mi się przytrafiło – przed pierwszą piosenką mój wzmacniacz odmówił współpracy i był niemały problem. A samo uczestniczenie w tym wydarzeniu? Optacito się jak najbardziej, szczególnie zważywszy na ilość zebranych pieniędzy. Ogólnie koncert oceniam bardzo pozytywnie, z perspektywy amatora był to jak najbardziej udany występ.*

Jedno z odkryć (jeśli nie Waszych, to moich – macie prawo albo się zgodzić, albo zaakceptować, ewentualnie uznać)



## Z życia szkoły

koncertu to nowy perkusista zespołu, **Adrian Bujalski**: Koncert podobał mi się bardzo: świetni Koledzy i Koleżanki na scenie, super klimat i, to bardzo ważne, widownia była super, dla takich ludzi mogą grać codziennie. Jak znalazłem się w zespole? Hmm... Przypadek i nie. W sumie to było tak, że Michał, Laska i Perez przyszli do mnie i przedstawili sprawę, że potrzebny jest bębniarz i czy zadziałam z nimi, wziąłem pałki i o... gram ;). Najlepszy był ten klimat samego występu oraz wszystkie przygotowania i próby. Co do koncertu, podobał mi się niezmiernie, lubię takie przedsięwzięcia, bo to świetna sprawa. Robię, co kocham, z bardzo fajnymi ludźmi i to jeszcze „po fachu”, a wszystko na szczytny cel – dla chorego dziecka. Tutaj podziękowania dla Sorki za organizację i panowanie nad nami ;]. Publiczność, jak już mówiłem, była świetna, przyznam, że na scenie nie słyszałem wiele prócz siebie na bębnach i Chłopaków z zespołu, a momentami dziwiłem się sam, że normalnie usłyszałem „żywą” publikę – to buduje atmosferę i pomaga nam na scenie, w końcu występujemy dla Was ;). Co do wystąpienia przed większą publicznością, to świetna sprawa, w sumie przyzwyczałem się już trochę do tego, koncertując tu i tam, ale w każdym miejscu i w każdej chwili, koncertując, przeżywa się coś wspaniałego i skłamałbym, jakbym powiedział, że tutaj tego nie było. W sumie, tak naprawdę, na wszystkie kawałki wyszło nam dokładnie chyba 7 dni pracy po 1,5 h dziennie, czyli stosunkowo mało na zrobienie ponad 10 utworów jeszcze pod kilku wokalistów, ale udało się, próby były bardzo do-

brze prowadzone, szybkie zgranie i kontakt – to podstawa i na próbie, i na scenie. Włożyliśmy w to dużo serca i też „trochę” pracy. Myślę, że się udało i nie poszło to wszystko na marne. Dzięki wielkie! Wszystkim, którym przyszli, Wszystkim, z którymi współpracowałem i dzięki wielkie za organizację Koncertu! ;-]

W to, że stres towarzyszył uczestnikom koncertu na długo przed jego rozpoczęciem, na pewno nie powinniśmy wątpić. Swoimi wrażeniami podzielił się ze mną **Krystian Grzelak**, etatowy konferansjer na naszych szkolnych apelach, koncertach, występach i innych tego typu cudach niewidach: O koncercie wiedziałem już od ponad miesiąca, więc miałem czas, aby się mentalnie do niego przygotować. Starłem się jakoś przetrzymać stres, ale kiedy pierwszy raz wyszedłem na scenę, on okazał się silniejszy ode mnie. Nie wspominał już o tym, że trema całkowicie rozłożyła mnie jakieś piętnaście minut przed rozpoczęciem imprezy. Później poszło już z górki – stres minął, zapowiedzi wychodziły, a przypadkowe sytuacje sprawiały, że publiczność się dobrze bawiła (albo tylko udawała, że to robi). Pytasz, czy jestem zadowolony z siebie...? Hmm... jestem perfekcjonistą, więc uważam, że zawsze mogło być lepiej. Po-

wiem tak: pierwsza część zapowiedzi pozostawiła wiele do życzenia, ale jestem usatysfakcjonowany drugą częścią, gdy zacząłem się bawić tym koncertem i wszystko poszło już na luzie.

Jasne, chciałbym wziąć udział w kolejnej tego typu inicjatywie – rzecz jasna, innej roli niż konferansjer dla siebie nie przewiduję. A jako że moja współprowadząca wróci do roli aktorki, ja gorąco liczę, że przyjdzie mi stanąć na scenie z Łukaszem M., przyszłą gwiazdą tej szkoły, uczęszczającą obecnie do naszego gimnazjum. Myślę, że taki duet byłby naprawdę ciekawy. Jest tylko jedno „ale” – do tej pory nie mogę znieść porównania do Krzysztofa Ibisza. Naprawdę pajacowałem aż tak bardzo jak on?

Nie... Nie ośmielę się podjąć oceny. W kuluarach mówi się jednak, że – niestety – Ibisz i Cichopek mają szansę być równie dobrzy jak Grzelak i Białorucka J. Wielkich zmian nie było także w części wokalne. Nowa wokalistka, **Magda Pawłowska**, zaśpiewała jednak piosenkę De Mono „Kochać to nie znaczy zawsze to samo”: Mieśliśmy trochę pracy. Przygotowa-



## Z życia szkoły



nia to były codzienne próby po zajęciach, mnie piosenkę wybrała bodajże sorka. Koncert był świetny i nie ma rzeczy, które by mi się nie spodobały. Wspaniała atmosfera, tylko stres – wiadomo, to jest zawsze najgorsze.

Jedną z jedną z najbardziej rozpoznawalnych wokalistek jest **Alicja Olejniczak**, do której przyjechał nawet osobisty fanklub]: Nie będę oryginalna, bardzo mi się podobało, szczerze mówiąc, nie stresowałam się przed występem ale trochę, przejmowałam się, że pomylę tekst albo melodię. Oczywiście nie było perfekcyjnie, bo chyba nie wyszła nam żadna piosenka, która w całości byłaby idealna, w każdej był jakiś błąd, ale Sorce (Domańskiej przyp. moje – bo głupio mi było dopisać przyp. red. Pozdrawiam Krystiana]) się podobało. Jedną piosenkę wybrał mi Michał, a drugą ja sama. Wiedziałam, że będę miała specjalnych gości i spodziewałam się takiej publiczności. Chociaż nie było stresu, to na próbie miałam problem, żeby wejść w drugą piosenkę. Zresztą, już tyle razy się ośmieszylałam na scenie, więc myślę, że nic gorszego nie będzie J. Co mnie denerwowało? Światła i dym. Dymem można się

było zakrzusić a od świateł nie było widać publiczności. No i ten niedziałający mikrofon... Później aktorzy pomieszała mikrofony, kable i trzeba było uważać, który mikrofon przerywa a który nie. Hm... O. Szostek był zabawny (Ala powiedziała dalej „ale tego nie pisz!” – niestetyż jestem zły, paskudny i niedobry, więc nie posłuchałam), jak fałszował i na próbie Monika przestała śpiewać, i usiadła na scenie, i zaczęła się śmiać J, i, zamiast śpiewać dalej, pomylił tekst, i śpiewał cały czas jedną zwrotkę J. Jak zespół grał solówkę i im przerwał, bo zaczął śpiewać refren, wszyscy instrumentalisci zaczęli się śmiać, szczególnie Laska J. Mam nadzieję, że Szostek mnie nie znienawidzi!

Mam nadzieję, że mnie też. Udany debiut sceniczny zaliczył **Kasper Pawłowski** (w roli aktora, wcześniej – w spektaklu bazującym na bajkach – był narratorem), któremu jednak daleko od hurraoptyzmu: Co do wrażeń – nie jestem obiektywny, w końcu sam brałem w tym udział, choć w dość epizodycznej roli. Myślę, że było pozytywnie. Koncert sam w sobie wypadł dobrze. To przeplatanie

muzyki poezją było dość ciekawe, chociaż moim zdaniem nie we wszystkich przypadkach wypaliło. No i odczułem jakiś brak takiej głębi, motywu przewodniego, który niby był, ale nie dało się go tak konkretnie odczuć. Myślę, że temat relacji międzyludzkich został tylko „liźnięty”, w zasadzie nawet nie było puenty. Wszystko zostało przyćmione tym, że na scenę wyszli nauczyciele – tylko szkoda, że nie wszyscy nauczyli się tekstu na pamięć. Mimo tego koncert mi się bardzo podobał, nie było jakichś specjalnych niedociągnięć. No i arcysprawa – nie robiliśmy tego dla siebie, tylko dla kogoś. Być może udało nam się jakoś pomóc i to jest w tym momencie najważniejsze. W sumie jeśli przyświeca ci taki cel, to mógłbyś wyjść na scenę i zrobić z siebie kompletnego debila, jeśli tylko ludzie za to zapłacą, a to komuś pomoże. A stres? Przy bajkach był o wiele większy ;). Wynika to pewnie z tego, że wtedy spędziłem na scenie ponad godzinę, a teraz może 3 minuty :P. Zdenerwowałam się tylko na to, że nie miałem nawet jednej próby z prawdziwego zdarzenia (Kinga była chora). No i to też trochę stresu kosztowało, jednak Kingę o wiele więcej.

Na scenie po raz kolejny i tradycyjnie w duecie wystąpiły **Kinga Fatek** i **Magda Michalczuk**. Skąd tyle zapłału i chęci – nie tylko do wzięcia udziału w tym koncercie, ale także wszystkich poprzednich tego typu występów?: Nasz udział w tym koncercie był nieplanowany. Zostałyśmy wybrane, co było dla nas wielkim zaskoczeniem i wyróżnieniem. Oczywiście przez myśl nam nie przeszło, żeby opo-



## Z życia szkoły

nować! Było to duże przeżycie któreś już z kolei, przynoszące wielką satysfakcję, mimo stresu (chyba się już z nim zaprzyjaźniłyśmy), który okazał się być taakim malutkim w porównaniu do tego, co czułyśmy już „po”. Myślmy, że takie wydarzenia to przede wszystkim dobre chwile i mnóstwo pozytywnych emocji, ale też świadomość, że mogłyśmy dać z siebie „coś”. „Coś”, co, wydaje nam się, potrafimy, i tym samym sprawić, że ktoś inny TEŻ (?) spędził miło czas. Ta nasza „przygoda ze sceną” sprawiła, że w głowach zrodziła się pewna myśl, pewien pomysł, który (silnie w to wierzymy), kiedyś zrealizujemy. Póki co, to odległe marzenie, które rośnie na potęgę i jest tajemnicą jednego małego Serca i jednego troszkę większego Rozumu ;).

Tak – potrafimy i tak – trzymam kciuki. Co o samym koncercie sądzą widzowie?

**Katarzyna Sawicka:** Na pewno częściej powinny być organizowane właśnie takie koncerty. Początkowo nie byłam jakoś przekonana, szłam w sumie bardziej z przymusu niż z własnych chęci, ale zostałam bardzo mile zaskoczona. Siedziałam z otwartą buzią i oglądałam od samego początku do końca. I mogłabym oglądać to cały czas, bez przerwy. Najbardziej podobali mi się prowadzący, a Grzeluś przypominał mi Ibisza J. Fajnie się zgrali, wyszło im to. Szkoda, że tak krótko, bo ja bym mogła jeszcze siedzieć tam drugie tyle. No i wiadomo, każdy czekał na występ nauczycieli. Byłam okropnie ciekawa, jak im to wyjdzie, zresztą jak chyba każdy. I wyszło. Najfajniejsze było to, że oni sami się do-

brze bawili i widać było, że sprawia im to przyjemność, automatycznie mi się to udzielało i sama bawiłam się świetnie. A najlepszy moment? Jak wszyscy na sali wstali i zaczęli klaskać. Tak więc bardzo proszę o więcej takich koncertów.

**Adrian Józefowicz** (wylewnie i poetycko): Jedyne, co mam do zarzucenia, to to, że było za dużo dymu i nie podobała mi się aranżacja „Iris”, a poza tym to same plusy.

**Dorota Dziegielewska:** Ooo tak, koncert był wspaniały. Atmosfera niesamowita, czuć było, że występujący włożyli w to dużo serca i poświęcili sporo czasu. Jedyne, do czego mogłabym się przyczepić, to do tego, że nasi wspaniali prowadzący czytali, z pozorów luźna swobodna rozmowa a jednak czytana, ale to mały szczegół, tak jak usterki techniczne. To jedyne rzeczy, do których można by mieć zastrzeżenia. Niedziałający na chwilę mikrofon czy poplątane kable, co i tak nie wpływało na całokształt. Podobało mi się zaangażowanie wszystkich. Aaa! Wiem, co mi się bardzo nie

podobało... okropne zachowanie części publiczności, oczywiście nie przez cały czas, ale czasami panował chaos uniemożliwiający skupienie i słuchanie. Poza tym występ naszych nauczycieli był chyba największą atrakcją, wszyscy na to czekaliśmy – gratuluję odwagi i dystansu do siebie. Fajnie było się wspólnie bawić.

**Natalia Kmiec:** Kiedy szłam na koncert, towarzyszyła mi pewnego rodzaju ciekawość, z czym się spotkam, jakich wrażeń doświadczę i czy całe to wydarzenie wywrze na mnie jakikolwiek wpływ, pozostawi chociaż malutki ślad. Muszę przyznać, że przedstawienie przeszło moje najśmielsze oczekiwania, skłoniło do refleksji, oddziało na mnie w sposób, którego nie mogę ubrać w słowa, opisać. Piękne powiedzenia, cytaty, wiersze adekwatnie dobrane do znanych publiczności piosenek, złożyły się na wspaniały koncert. W Płońsku zdecydowanie brakuje wydarzeń o podobnym charakterze. Bardzo przyjemnie jest obserwować, że w naszym mieście funkcjonuje liczna grupa osób, które poprzez własne działanie chcą dać innym



## Z życia szkoły

odrobinę przyjemności, rozrywki i zabawy.

Na koncercie byli obecni także uczniowie innych szkół:

**Bartek Barczak:** *Bardzo mi się podobało, już za bardzo go nie pamiętam, ale dobrze były dobrane piosenki, Grzelak i ta dziewczyna (Łucja, przyp. moje) super to prowadzili. Było dużo osób i chyba wszystkim się podobało, róbcie więcej takich koncertów.*

**Bartek Żochowski:** *Podobało mi się bardzo, z racji tego, że była to akcja charytatywna, a więc nie wydałem pieniędzy na głupotę, a moje 3 złote przeznaczyłem dla potrzebującego. Występowało wiele znajomych twarzy, co dodawało uroku spotkaniu i miło się siedziało. Występ nauczycieli też był dobrą opcją, generalnie oby więcej takich spotkań, bo warto pomagać!*

Koniec koncertu i to, na co wszyscy czekali. Występ nauczycieli. Nie wiem, czy lepiej bawiliśmy się my, czy oni. My na pewno mniej nerwowo, w końcu to nie my występowaliśmy. Nam się podobało. Oni natomiast...

**Sorka Anna Biernacka:** „Mam do ciebie prośbę. Mamy pomysły na koncert charytatywny i byłoby fajnie, gdybyś mogła na nim zaśpiewać. Liczę, że nie zawiedziesz” – byłam przerażona i myślałam tylko o tym, jak tu zawieść „z klasą” i żeby nasze kontakty na tym nie ucierpiały. Przypomniały mi się koszarne lekcje muzyki z podstawówki. Po chwili padło zbawienne: „Spokojnie, nie solo, wszyscy razem”. 17 grudnia każdy, kto zapłacił jedyne 3 zł, mógł spędzić fantastyczne niemal dwie godziny. Niezapomniana zabawa i do tego szczytny cel. Wszyscy przecież, tak naprawdę, śpiewaliśmy dla Brajanka. Nasi uczniowie, jak zawsze, nie zawiedli i nie zawiedliśmy i my, na koniec zabrzmiało ze sceny głośne, bo prawie 20-osobowe (zapewne ku zaskoczeniu samych organizatorek;) „Ale to już było” Maryli Rodowicz. Czy się stresowaliśmy?! Ja na pewno, ale najważniejsze było to, że umieliśmy zrobić coś razem, popatrzeć na siebie z dystansem, humorem. Dla mnie

niezapomniane doświadczenie, inne, ale bardzo pozytywne i, sądząc po reakcji publiczności, uczniom chyba też się spodobał. Jeśli będzie kolejny raz, to też na pewno nie zawiodę, ale – nigdy solo.

**Sorka Marta Czyżewska:** Koncert był jednym z fajniejszych wydarzeń w życiu szkolnym, w jakich miałam okazję uczestniczyć. Wydaje mi się, że wiele osób – z obu stron barykady – podziela moją opinię. Długo by można wyliczać plusy, więc może spróbuję znaleźć jakiś minus – chłód w sali kina. Ten mankament jednak szybko poszedł w zapomnienie, a wszystko to dzięki atmosferze, jaką wygenerowali zarówno obecni na widowni, jak i występujący. Jestem pełna podziwu, że pomimo dosyć skromnych środków efekt był tak profesjonalny – muzyka, światła. I to nic, że nie było nas stać na Grażynę Torbicką i Krzysztofa Ibisza w roli konferansjerów – Łucja i Krystian pokazali klasę J. Jeśli chodzi o występ pedagogów, to uważam, że był na dobrym poziomie i daliśmy czadu. Nieśkromnie mówiąc, był to po części także mój pomysł, więc całe przedsięwzięcie o kryptonimie „Ale to już było” wywoływało we mnie wręcz niespotykany dla mnie entuzjazm. I warto było, działając w tak słusznej inicjatywie, doświadczyć czegoś, co wspominać będzie w chwilach osobistych kryzysów – owacji na stojąco publiczności w trakcie naszego występu, i za to w imieniu





## Z życia szkoły

„ambitnych i pewnych siebie” członków naszej oświatowej kapeli dziękuję

**Sorka Marta Domańska:** Co czułam...? Przede wszystkim – pragnienie ucieczki. Ogromnie krępują mnie wystąpienia publiczne, ale – z drugiej strony – jeśli wierzę, że coś ma sens i jeśli w dodatku jestem za to częściowo odpowiedzialna, to staram się zwalczyć nieśmiałość. Oczywiście ucieczka była niemożliwa z innego też względu – jeśli namawiasz swoich przyjaciół, znajomych, kolegów do wzięcia udziału w takim wydarzeniu, to trudno, żeby samemu zdezerterować. Ale wiesz, fajnie zrobić coś wspólnie, mieć poczucie solidarności i – tak wynikało z późniejszych rozmów – nikt nie żałował, że jednak wyszedł na scenę. Krystian nazwał nas – ironizując, ale trudno mu się dziwić – „artystami (...) jakże pewnymi siebie”, co, no cóż, było silnym kontrastem z tym, jak większość z nas się czuła, ale... Może, mnie osobiście, byłoby łatwiej, gdybym po prostu – potrafiła śpiewać. Hm, nie potrafię. Ale, abstrahując już od stresu, chciałabym szczególnie podkreślić jedno – ten moment, kiedy zareagowaliście na wyjście lekko zdeorientowanych nauczycieli taką – przynajmniej tak to odczytałam i mam nadzieję, że się nie mylę – sympatią i zrozumieniem, był – czymś wartym zapamiętania. Strasznie to było miłe. I wtedy poczułam, że naprawdę – dla takich momentów – warto. Co wcale nie zna-

czy, że pragnienie ucieczki stało się mniejsze.

**Sorka Bożena Dzitowska:** Takie wydarzenia jak koncert charytatywny na rzecz Brajana budują moją wiarę w młodzież. Może to zabrzmiało patetycznie, ale zawód nauczyciela, cała szkolna codzienność sprawiają, że patrzymy na siebie przez pryzmat roli, w jakiej funkcjonujemy w szkole. I właśnie takie chwile jak ta pozwalają zobaczyć w uczniach wrażliwość, bezinteresowność, kreatywność, dojrzałość, solidarność, zapał – te cechy, o których mówi się często, że są obce współczesnej młodzieży. Bo o czym innym może świadczyć chęć poświęcenia cennego czasu na próby, odpowiedzialne przyswojenie w sumie dużych tekstów, często przełamanie wielu lęków i nieśmiałości przez aktorów? O czym świadczy tak liczna obecność młodych widzów na koncercie i reakcja na występ nauczycieli? Ponadto koncert był również wartościowy pod względem artystycznym, wśród młodzieży jest mnóstwo utalentowanych osób. Mam nadzieję, że takie okazje sprawią, że ci, którzy z różnych względów nie chcą się odkryć, odważą się i wyjdą z cienia. Pomagając innym, pomagamy też i sobie, nie zapominajmy o tym.

**Sorka Katarzyna Myszyńska:** No więc bardzo mi się podobało. Nie powiem, że nie było

stresu, bo był, ale myślę, że to z czasem zeszło na drugi plan. Sorka naprawdę delikatnie poprosiła mnie o udział w koncercie, nie zgodziłam się co prawda tak od razu, ale też nie wyobrażałam sobie odmówić. Tym bardziej, że szczytny cel. Jestem osobą nieśmiałą, więc miałam obawy, ale – to już nie takie istotne. Cieszę się, że wzięłam udział w tym koncercie. Jeśli będą następne? Tak, to oczywiście – nie odmówię. To była też taka podróż sentymentalna dla nas. Pamiętam, że jak w sylwestra Maryla Rodowicz, jak my podczas koncertu, śpiewała „Ale to już było”, to pomyślałam sobie: „Kobieto... Nie tak!”. Naprawdę jestem zadowolona, że tak potrafiliśmy się zgrać. Mieliliśmy właściwie tylko jedną próbę, ciężko było się zebrać i dlatego tylko jedną. Każdy miał swoje obowiązki i trzeba to zrozumieć. Jeszcze przed koncertem śpiewaliśmy na górze w kinie bez muzyki acapella, później przed koncertem chcieliśmy się jeszcze sprawdzić na scenie, ale już była publiczność, więc zrezygnowaliśmy, żeby nie popsuć niespodzianki. Bardzo pozytywnie zaskoczyło mnie to, że było kilku, jakoś koło 3 nauczycieli obecnych w sali, którzy zdecydowali się na występ pod wpływem chwili. Wcale nie planowali wyjść na scenę i zaśpiewać, ale na fali emocji, koncertu, odważyli się jednak z nami wystąpić.

**Sorka Magdalena Szydłow-**

## Z życia szkoły

**ska:** Wchodząc na scenę, czułam oczywiście stres i onieśmienie z uwagi na fakt, że w takiej roli występowałam po raz pierwszy w życiu. Otuchy dodawała mi świadomość, że grupa nauczycieli biorących udział w tym przedsięwzięciu była całkiem liczna, a cel szczytny. Towarzyszyły mi również pozytywne emocje, takie jak satysfakcja z tego, że nauczyciele potrafią się zorganizować i zaangażować w pewną formę działań pozaszkolnych oraz poczucie, że takim drobnym gestem mogliśmy nieść wsparcie dla kogoś w potrzebie. Koncert postrzegam jako ciekawą inicjatywę, którą – być może w innej formie – ale należy powtórzyć w przyszłości:).

**Sor Sławomir Kowalski:** Sam koncert, jak przede wszystkim – jego idea – bardzo mi się podobały. Wiesz, najistotniejsze, że potrzeba koncertu wynikała z wrażliwości młodzieży, z jej chęci pomocy. Papież ujął to w słowach:



„wrażliwość miłosierdzia” i myślę, że piątkowe wydarzenie było właśnie wynikiem tego miłosierdzia i empatii. Dobrze, że młodzież potrafiła nie tylko zaangażować się w pomysł, ale i konsekwentnie go realizować, że zapał nie okazał się słomiany, tylko miał realne konsekwencje. Ważne oczywiście, że cel był szczytny – że uczniowie chcieli pomóc, kierując się otwartością, żywiołowością, chęcią podzielenia własnymi pomysłami i energią. Wrażenie zrobił też profesjonalizm – koncert był dobrze zorganizowany, wszystko – muzyka, wykonanie, prowadzenie – niezwykle spójne.

\*\*\*\*\*

### Autorzy koncertu:

**muzyka:** Michał Brożyna (aranżacja muzyczna), Adrian Bujalski, Krzysztof Konstanti-

now, Janusz Popłonkowski, Przemysław Sawicki (instrumentaliści); Alicja Olejniczak, Magda Pawłowska, Agata Piórkowska, Monika Pośpiech, Kinga Raczkowska, Łukasz Szostek (wokaliści);

**strona literacka:** Tomasz Antosiewicz, Paweł Bałdyga, Łucja Białorucka, Patrycja Boruta, Damian Brudzyński, Kinga Fafek, Krystian Grzelak, Eliza Kleniewska, Michał Kornatowski, Kinga Langiewicz, Monika Lutomirska, Magda Michalczyk, Jakub Nowak, Anna Pałac, Kasper Pawłowski, Zuzanna Paszkowska, Olga Rykowska, Szymon Zwierew

**zbiórka pieniędzy:** Marta Dychto, Alicja Guzowska, Karol Kaliściak, Łukasz Magnuszewski, Karolina Szparadowska, Lena Rajewska

**opieka merytoryczna:** Marta Domańska i Bożena Dzitowska

Autor: Michał Markiewicz

## „Wymiana Płońsk – Winschoten 2010 – Niezapomniany czas”

Po powrocie z Holandii zostałem poproszony o napisanie kilku słów na temat tegorocznej wymiany z Dollard College, na temat tego, co przeżyłem/ przeżyliśmy ze znajomymi/ przyjaciółmi podczas tygodniowego pobytu w Winschoten – czyli na temat czegoś, o czym można by pisać godzinami, a i tak nie opowie się prawdopodobnie wszystkiego. Postaram się, mimo wszystko, wykrzesać z siebie pożądane maksimum.

Wyjechaliśmy z Płońska 17. listopada o godzinie 24.00, wszyscy bardzo podekscytowani, ale równocześnie nieco spięci i zestresowani zupełnie nową sytuacją i faktem, że już za parę/paręnaście godzin będziemy musieli zamieszkać z zupełnie obcymi ludźmi, rozmawiać z nimi w zupełnie obcym języku – jak się później okazało, nawet rodzice i nauczyciele, choćby najstarsi, posługują się językiem angielskim w sposób biegły. Do Winschoten dotarliśmy następnego dnia, około godziny 14.00. Wszyscy spanikowani dodatkowo faktem, że jesteśmy na



miejscu parę godzin przed przewidywanym czasem naszego przyjazdu i nikt na nas nie czeka. W końcu jednak spotkaliśmy się ze swoimi partnerami – na początku było dość dziwnie, ale z mojego punktu widzenia napięta atmosfera szybko minęła. Następnie, każdy rozjechał się do swoich domów (ja musiałem czekać ponad godzinę w szkole, więc przez ten czas zdążyłem spróbować „przepysznych” anyżowych cukierków, poznać szkolną gejowską parę i dowiedzieć się, że (...) można nabyć jak świeże bułki w spożywczym). Dobry start, bez wątpienia.

Codziennie rano, zmęczeni po imprezie wieczoru poprzedniego, w tak dobrze znanym przez wszystkich Boelies, musieliśmy jeździć do szkoły rowerami („bicycle, I want to ride my bicycle”!) – nie powiem, były bardzo wygodne –

bez względu na deszcz, śnieg czy burzę. Zresztą, za każdym razem, gdziekolwiek byśmy nie jechali, główny środek transportu stanowił rower. Co jeszcze idzie w parze z tą, jakby nie patrzeć, oszczędnością? Fakt, iż w holenderskich domach jest niesamowicie zimno (ponieważ ich mieszkańcy nie mają w zwyczaju ich ogrzewać), pomimo minusowej temperatury na zewnątrz są niekiedy nawet intensywnie wietrzone – warto wspomnieć w tym miejscu, że wszyscy, bez wyjątku, byliśmy chorzy. Swoją posiłek opieraliśmy na różnego rodzaju serach, orzechowych czy czekoladowych kremach lub też różnego rodzaju dziwnych posypkach i płatkach. Na dłuższy czas jedzenie tego typu chyba nie jest do końca zdrowe. Co było jednak największym zaskoczeniem – ci ludzie prawie w ogóle nie piją herbaty, zastępując ją mlekiem czy, jak to miało miejsce w porze obiadowej, wodą z kranu.

W ogólnym projekcie wymiany brali udział również uczniowie z Anglii, Włoch i Japonii. W międzynarodowych grupach przygotowywaliśmy projekty, o konkretnym



## Z życia szkoły

temacie, których rezultaty przedstawialiśmy dnia ostatniego, tj. w piątek 26. Każda z ośmiu grup zawierała członków z odmiennych, tzw. fields of studies – ekonomii, nauk ścisłych, nauk socjologicznych, projektowania oraz teatru. Poza pracą w grupach danego projektu, mieliśmy w szkole lekcje języka holenderskiego oraz zajęcia ściśle dotyczące naszych zainteresowań (o których wspominałem już powyżej). Dodatkowo, pierwszego dnia mieliśmy zajęcia dobrowolne, do wyboru: naukę salsa, zumby, grania na, bliżej nieokreślonych, bębnach oraz teatru improwizacji. Malowaliśmy koszulki, przedstawialiśmy wszyscy wcześniej przygotowane prezentacje naszych szkół – z tego, co wiemy, nasza została odebrana jako jedna z najlepszych, integrowaliśmy się z ludźmi z różnych, tak odmiennych, rejonów świata. International Cooking Festival (a raczej serwowane na nim jedzenie), który też miał miejsce podczas naszego pobytu w Dollard College, przeszedł do historii jako bardzo niesmaczne doświadczenie – szczególnie kuchnia japońska nie przypadła nikomu do gustu (takich obrzydliwych rzeczy jeszcze w życiu nie jadłem, ale to tylko mała dygresja).

We wtorek rano pojechaliśmy do Amsterdamu. Piękne miasto, niesamowicie zadbane, całe wybrukowane, na ulicach mnóstwo zieleni, kwiatów w donicach, o rzędach rowców wzdłuż każdej z ulic nie wspominając. Wszystko przed-

stawiało dość, żeby użyć właściwego słowa, malowniczy widok. Popłynęliśmy w godzinny rejs po mieście i wokół niego, następnie poszliśmy do jakiegoś muzeum, o którym nie warto wspominać i lepiej wymazać to przykre doświadczenie z pamięci. Następnie, po paru godzinach szwędania się bez celu po mieście, musieliśmy wracać. W czwartek pojechaliśmy na kolejną wycieczkę, do Groningen. Jej sens polegał na znajdowaniu jakichś zabytków, w rezultacie jednak przygoda zakończyła się w McDonalddie, co było w sumie do przewidzenia.

Teraz trochę subiektywnej oceny. Pobyt w Winschoten był dla mnie niezapomnianym doświadczeniem, przygodą, wydaje mi się, na całe życie. Poznałem wielu niesamowitych ludzi (tych mniej niesamowitych też, ale nie można mieć wszystkiego), atmosfera, pomimo paru nieporozumień, była naprawdę pozytywna. Gdybym mógł, pojechałbym jeszcze raz, bez wahania. A dla tych, którzy zaczęli zastanawiać się nad tym, czy jechać w przyszłym roku, mam jeden komunikat – jedź bez zastanowienia.

To była moja ocena, a teraz swoimi wrażeniami podzielił się inne osoby, które również brały w niej udział:

**Ania Karpińska:** Wymianę traktuję jako bardzo cenne i niezapomniane doświadczenie z wielu powodów. Jednym z nich jest, niewątpliwie, możliwość po-

znania obcej – dotąd nieznannej mi – kultury, w trakcie którego to poznawania towarzyszyły mi miła konieczność używania języka angielskiego. Poznając nowych, interesujących ludzi, ich obyczaje i życie codzienne, rozwijałam się od strony językowej, co było dla mnie pewnego rodzaju wyzwaniem i lekcją w jednym. Poza obowiązkową częścią wymiany, obejmującą w głównej mierze zajęcia w szkole, mieliśmy też czas wolny, który spędzaliśmy na luźnej formie integracji z Holendrami, polegającej na wypadach do pubów, kina, wycieczkach do Groningen i Amsterdamu, itp. Jak dla mnie, wymiana na wielki plus. Jeśli będę miała jeszcze możliwość wyjazdu do Winschoten, to na pewno z niej skorzystam.

**Ola Krysiak:** Nie mogę uwierzyć, że to wszystko tak szybko się skończyło... W sumie, żyjąc znowu tą monotonią, zdałam sobie sprawę z tego, jak bardzo brakuje mi tej wymiany, a w szczególności tych bardzo wartościowych ludzi, z którymi spędziłam te zaledwie kilka dni. Będąc w Holandii, miałam okazję poznać niesamowicie miłe, interesujące, zabawne osoby. Poznałam ich obyczaje, nieco różniące się od naszych, sposób życia, a przede wszystkim miałam okazję podszkolić swój angielski, którego musiałam używać, aby porozumieć się z kimkolwiek. W szkole czas spędzaliśmy integrując się na zajęciach, poza szkołą spotykaliśmy się głównie w pu-

## Z życia szkoły

bach. Chodziliśmy do kina, na mecze, spędzaliśmy czas w domach wraz z rodzinami naszych partnerów. Mieliśmy także okazję zwiedzić Amsterdam – tej wycieczki nie zapomnę do końca życia. Będąc na wymianie, wielu rzeczy się nauczyłam, a z ludźmi, których poznałam, niesamowicie się żyłam. Myślę, że wyjazd będę na pewno miło wspominać do końca życia.

**Olga Sopocka:** Wymiana była dla mnie niezapomnianym przeżyciem. Nie spodziewałam się, że przez 10 dni tak się ze wszystkimi zżyję. Ludzie byli niesamowicie otwarci i życzliwi. Z niecierpliwością czekam na ich przyjazd do Polski. Dodatkowo mam wrażenie, że mój angielski trochę się poprawił, gdyż wcześniej nie miałam tak częstej okazji posługiwania się nim. Ogółem wymianę będę wspominać jak

najbardziej na plus i wszystkim ją gorąco polecam!

**Filip Zarzyński:** Wyjazd do Holandii uważam za jedną z najciekawszych przygód ostatniego czasu, była to okazja do poznania wielu wspaniałych ludzi i poszerzenia różnego rodzaju doświadczeń. Holandia, jako kraj, przypadła mi wielce do gustu i mam nadzieję, że jeszcze kiedyś ją odwiedzę. Udało mi się przełamać wiele stereotypów i poznać prawdziwe – o wiele lepsze – oblicze tego zakątka świata. Wymianę uznaję za ciekawą i przyjemną doświadczenie, polecam wszystkim, którzy mają możliwość wzięcia w niej udziału w roku przyszłym, a sam z niecierpliwością czekam na rewizytę w kwietniu.

**WE HOU VAN JE, HOLLAND!**

*Michał Kornatowski*



## Sinterklassowe mikołajki, czyli tradycja święta w Holandii

Najwcześniej dzień Świętego Mikołaja, który w Polsce przypada na 6. grudnia, obchodzi Holandia. Tam nazywa się je Sinterklass, czyli po polsku Św. Mikołaj. W tym kraju jest ono zupełnie inne niż w reszcie krajów Zachodu. Tam szaleństwo świętomikołajowe rozpoczyna się już 15. listopada. Tego dnia do Amsterdamu przybija parowiec wiozący Św. Mikołaja oraz jego pomocników. Jest to wielkie święto lokalne, transmitowane przez telewizję, z pochodami ulicznymi.

Gorączka „Sinterklassowa” swój punkt kulminacyjny osiąga wieczorem 5. grudnia w tak zwany Wieczór Paczuszek, kiedy to rodziny obsypują się prezentami, niezależnie od wyznania. Przez tygodnie poprzedzające właściwą datę Mikołaj wędruje przez kraj, składając tu i tam wizyty. Taka jest holenderska tradycja, różniąca się od innych europejskich krajów.

Rodzina, u której byłam w czasie wymiany, uważa to święto za najpopularniejsze. Młodsza siostra mojej holenderskiej partnerki, Yixanne Meeuwsen, wierzy w historię o Świętym Mikołaju. Rodzice mówią jej, że przybywa on parowcem specjalnie z Hiszpanii, aby ją i inne dzieci odwiedzić. Później jeździ nocą na białym

koniu, rozdzielając dary, wchodząc do domu przez komin wraz z pomocnikami.

Do miasta Winschoten, z którym nawiązana została wymiana, Święty przybył 20. listopada. Wtedy właśnie, przechodząc ulicą, ujrzeliśmy Sinterklassa z pomocnikami przejeżdżających parowcem. Pomocnicy mieli czarną skórę oraz czerwone usta, co mnie bardzo zaciekało. Szczerze mówiąc, nie wiedziałam za bardzo, o co chodzi, ale Święty Mikołaj z czarnymi ludźmi machali do nas, więc ja też im machałam. Ludzie krzyczeli coś i śpiewali do nich, lecz nie rozumiałam co konkretnie. Święty Mikołaj był starcem z długą białą brodą w czerwonym stroju biskupa i pastorałem w ręku. Silny kontrast stanowiły fioletowe rękawiczki. Wszystko było bardzo kolorowe. Towarzyszyła temu dziwna muzyka. Pomocnicy - z bliska zauważyłam, że tak naprawdę nie mieli oni czarnej karnacji, lecz byli pomalowani - pełni humoru. Oprócz ich czerwonych ust rzucały się w oczy także złote kolczyki w uszach oraz białe zęby, gdyż cały czas się śmiali lub uśmiechali. Ich stroje przypominały mi kostiumy średniowiecznych paziów, a do tego nosili trampki. Każdy miał inny kolor stroju, a w rękę

worek. Zapewne były w nim prezenty. Dopiero po pewnym czasie dowiedziałam się, że nazywają się oni □ Zwarte Piety, co oznacza po polsku Pomocnicy Piotrusia □ lub Czarne Piotrusie.

Z tego co widziałam, Święty Mikołaj był spokojnym starszym panem, zaś jego pomocnicy zachowywali się w sposób żartobliwy - psocili i wykonywali akrobatyczne sztuczki. Na ich powitanie wychodziło mnóstwo mieszkańców oraz burmistrz miasta. Wszystkie dzieci poubierane były w różne stroje albo części stroju, najczęstszym była dziwna kolorowa czapka. Każdy też robił sobie zdjęcia z przybyłymi. Potem parowiec zatrzymał się i Mikołaj z pomocnikami powoli z niego wychodzili. Zaczęła się parada. Mikołaj szedł w środku, a Zwarte Piety wokół niego. Słyszałam historię, że miał on wysiąść na koniu, lecz go nie było. Czarne Piotrusie rozdawały coś, lecz trudno było się do nich dostać i nie wiedziałam co. Jeszcze trudniej było się dostać do Sinterklassa. Po pewnym czasie okazało się, co jest w ich workach. Nie prezenty, lecz słodycze. Gdy wreszcie znalazłam się koło nich, dostałam tę garść cukierków. Były to między innymi jedyne w swoim rodzaju ma-



## Z życia szkoły

lutkie, okrągłe ciasteczka o płaskim spodzie nazywane kruidnootjes. Jadłam je już wcześniej w domu mojej Holenderki, lecz te były o wiele smaczniejsze. Rozdawali również różne żelki, wśród których znajdowały się również anyżowe, za którymi większość Polaków nie przepada. Są one bardzo popularne w Holandii tak jak te ciasteczka kruidnootjes.

Od momentu przyjazdu Świętego Mikołaja aż do 5. grudnia dzieci piszą do Św. Mikołaja listy o tym, co by chciały dostać. Na szczęście mnie to ominęło. Gdyby to było w mojej rodzinie, to tak, z chęcią bym napisała. Po powrocie do domu musiałam zostawić koło kominka mój but. Mama, u której gościłam, mówiła, że niektórzy zostawiają w butach marchewkę i wiadro z wodą dla konia Sinterklassa, potem Czarny Piotruś dostaje się do domu przez przewód kominowy i, jeśli dzieci były grzeczne, za marchewkę daje słodycze, a woda jest dla konia w nagrodę za długą podróż. Rano dzieci nie potrafią uwierzyć jak to możliwe, że nocą do domu wszedł koń. Oczywiście woda z wiadra znika, podobnie jak i marchewka. Następnie rodzina uczyła mnie piosenki „Sinterklaas kapoentje”, którą bardzo polubiłam. Gdy już znałam tekst, śpiewaliśmy ją z całą rodziną, poczym zjedliśmy kolację. Gdy rano przyszłam po mój but, nie było go. Wszystkie krzesła były po-przewracane ogólnie – chaos. Kazano mi szukać mojego bu-

ta, więc szukałam. Był on pod stołem, a w nim cukierki ze Świętym Mikołajem, jedna duża, czekoladowa litera mojego imienia (jest to również popularny zwyczaj) oraz moje ulubione ciasteczek kruidnootjes. Mama Yixanne wciąż nabierała mnie, co było bardzo miłe i zabawne, że to Święty Mikołaj narobił tyle bałaganu.

Gdy poszliśmy do sklepu, na ulicach byli ludzie przebierani za Czarne Piotrusie, lecz nie nikogo przebranego za Świętego Mikołaja. Gdy weszłam do sklepu, moją uwagę zwróciły kasjerki z twarzami pomalowanymi na czarno. Potem widzieliśmy w telewizji migawki z lądowania i podróży Św. Mikołaja w Amsterdamie, a następnie w Winschoten. Byłam nawet w telewizji. Wszystko to miałam okazję obserwować na własne oczy. Bardzo fajnie było to przeżyć i poznać ich tradycję – nie tylko tę jedną, lecz mnóstwo innych. Według mnie mikołajki w Holandii są zupełnie inne. Bardzo różnią się od tych naszych, polskich. Ale są równie ciekawe.

*Klaudia Milczarek*

## Dzień Kultury Francuskiej

03 grudnia w naszej szkole odbył się apel poświęcony życiu i twórczości Fryderyka Chopina. Spektakl oczywiście nawiązywał do kończącego się już Roku Chopinowskiego. Korespondował także z obchodzonymi przez nas ostatnio Dniami Kultury Francuskiej, jako że genialny kompozytor prawie całe swoje dorosłe życie spędził w Paryżu. Pieczę nad inscenizacją sprawowała nauczycielka języka francuskiego, madame Barbara Krupińska.

Apel już na samym początku wydał mi się interesujący. Spodobało mi się, gdy na scenę wpadła wściekła redaktorka, której prac nie chciała umieścić gazeta. Szukając zasięgu w telefonie, przeniosła się do dziewiętnastowiecznego Paryża, w którym koncertował Chopin. Zachwyciłam się nawiązaniem do współczesności,



min. używaniem komórek, porozumiewaniem się młodzieżowym slangiem. Pomysł co do fabuły spektaklu też zasługuje na wielkie brawa. Po występie wymienialiśmy się z kolegami wrażeniami. Uznałyśmy, że najbardziej godna podziwu jest profesjonalna gra aktorska. Niejedni mogliby jej pozazdrościć.

Moim zdaniem to krótkie przedstawienie wypadło znakomicie i z chęcią obejrzałabym je ponownie.

*Antonina Rachobińska*

## Szklana panienska

Wystawa „Szklana panienska” prezentowana jest w Muzeum Techniki w Warszawie. Mieliśmy okazję ją zobaczyć podczas wycieczki klasowej. Jest to postać szklanej kobiety, na której wyświetlają się poszczególne narządy ludzkiego organizmu. Dla osoby interesującej się biologią wystawa może być ciekawa. „Szklana pa-

nienka” jest pouczająca, lecz lektor mówi zdecydowanie zbyt monotonnym głosem, przez co łatwo zacząć myśleć o czymś innym. Jednak dla przyszłych lekarzy może to być forma nauki potrzebnej na studiach medycznych. Sądzę, że wystawa jest ciekawa i interesująca. Do mnie ona nie przemówiła, lecz uważam, że warto ją zoba-

czyć, chociażby po to, by dzięki zdobytej wiedzy mieć lepszą ocenę z biologii.

*Julia Stolpa*

## Chaos Theory

Jakiś już czas temu, jeszcze w poprzednim roku szkolnym, pisałem w artykule o katastrofie samolotu prezydenckiego pod Smoleńskiem 10 kwietnia. I tak na sam koniec postawiłem sobie, choć nie tylko sobie, pytanie: „Co zmieni się w Polsce pod tym wydarzeniu?”. Jako że mamy już nowy rok 2011 i poniekąd czas podsumowań i rachunków sumienia teoretycznie za nami, spróbujmy zupełnie subiektywnie odpowiedzieć na to pytanie.

Cóż, zacznijmy może od początku. Z pewnością każdy z nas dobrze pamięta atmosferę tamtych dni i całą otoczkę, zarówno tę lansowaną przez media, jak i polityków, tak więc pozwolę sobie pominąć szczegóły wydarzeń tamtych dni. Wzniosłe słowa, niespotykana wcześniej chęć pojednania i porozumienia, spokój, cisza. I zapowiadane odrodzenie się polskiej polityki w duchu jedności, braterstwa i wspólnoty. Takie szumne zapowiedzi były czymś, czego w Polsce brak. Że niby nie będzie już żadnych kłótni i sporów? Nie... Wątpię, by nawet ci, którzy składali te obietnice, sami byli do nich przekonani, tak więc po części mieliśmy do czynienia ze zwykłym populizmem. A jednak wierzyliśmy w nie. Wierzyliśmy w lepsze jutro i że oto na naszych oczach pisze się historia. Rzeczywistość okazała się jednak

dość brutalna i stosunkowo szybko nasze plany i marzenia rozwiały się niczym poranna mgła. Zaczęło się od sporu w kwestii pochówku pary prezydenckiej. Nie wchodząc w dyskusję nt. słuszności wyboru miejsca, należy zauważyć, że Polacy znów pokazali się jako buńczuczny naród, który chyba tylko szuka okazji do zaczepki. Wszyscy byli świadomi, że ta sprawa będzie budzić wiele kontrowersji, jednak czemu trzeba było jeszcze w czasie żałoby narodowej wszczynać strajki i protesty? Szkoda, że niektórzy nie umieli zachować się odpowiednio do sytuacji, tym samym czyniąc ostatnie dni żałoby pożywką dla spragnionych mass mediów...

Następnym wydarzeniem były oczywiście wybory prezydenckie, które podzieliły Polskę właściwie na dwie części. Choć nikt nie przypuszczał, co może stać się później (w wakacje konkretniej), to wyniki bez względu na to, jakie by one nie były, rozdzieliły Polaków na dwoje. Jednak naród (a właściwie większość narodu) zdecydował i tak oto mamy nowego prezydenta. Kiedy już wszystko jakoś się statkowało i wracała szara, polska rzeczywistość, nad naszym krajem rozpętała się iście ognista debata publiczna związana ze sprawą przeniesienia krzyża sprzed Pałacu Prezydenckiego. Znów w Polsce ustawili się gorący zwolennicy

zostawienia symbolu chrześcijaństwa, jak i zagorzali przeciwnicy, których kultura masowa nazwała „obrońcami krzyża”. Najbardziej przykre w całym tym zamieszaniu jest to, że politycy nie zrobili właściwie nic, aby załagodzić tę sytuację.

Całe to „przedsięwzięcie” do czekało się już wielu porównań w mediach i analogii (czasem mocno naciąganych) np. do wydarzeń z czasów stanu wojennego, obrony Jasnej Góry podczas potopu szwedzkiego, że Polak przeciwko Polakowi, że człowiek człowiekowi zgotował taki oto los... Po tym zrobiło się dość spokojnie, jakiś czas później tylko na ulice Warszawy wylały się tłumy ludzi; idąc w pochodach niczym Ku-Klux-Klan (jak wyraził się jeden z dziennikarzy i nie tylko). Niosąc pochodnie i polityczne transparenty osoby te wносиły pewien element groteski, ale też i niewątpliwie strachu do dość sztywno określonego życia publicznego Polski. Strachu przed pewną wiedzą o ludziach, którzy są gotowi na wiele i są w stanie naprawdę dużo poświęcić dla kraju (cokolwiek to znaczy...).

Po tym całym rozgardiaszu, który ciągnął się przecież długimi tygodniami, pozostały nam już tylko wspomnienia. W międzyczasie pojawiały się jeszcze kolejne sensacje w stylu



raportów MAK-u nt. okoliczności katastrofy, ale ich echo nie pobrzmiewało w mediach zbyt długo, by potem ścichnąć pod naporem np. ujawnionych przecieków WikiLeaks.

Niemniej jednak, wydarzenia ostatnich miesięcy pozostaną w naszej pamięci na jeszcze długi czas. Teraz, po upływie ponad 8 miesięcy od katastrofy, kiedy emocje już opadły, można sobie pozwolić na jakąś ocenę tamtych dni. Były wtedy naprawdę piękne dni, piękne

obrazki jak np. morze zniczy pod Pałacem Prezydenckim, bijąca wręcz od ludzi aura ciepła, współczucia i chęci pomocy. Niestety my jako Polacy, w dosyć szerokim kontekście potwierdziliśmy swój stereotyp jako narodu skłóconego, podzielonego i nieumiejącego się tak zwyczajnie ze sobą dogadać. Trzeba przyznać, że mieliśmy szansę, żeby COŚ zmienić. Mieliśmy nadzieję, że uda nam się tego dokonać. Mieliśmy siebie, po raz pierwszy od naprawdę długiego okresu byli-

śmy razem ze sobą, z innymi, z ludźmi. Tym bardziej przykre jest właśnie to, że tę szansę zaprzepaściliśmy. Bo czy żeby człowiek zachowywał się wobec innych również jak człowiek, codziennie musi ginąć kilka osób? Czy tylko śmierć innych jest w stanie obudzić w nas tak ważne instynkty jak potrzeba współdziałania?

*Kamil Fijałski*

## Noworoczne postanowienia

Przerwa świąteczna dobiegła końca... Prezenty rozdane, gwiazdkowe hity odśpiewane, brzuchy przepelnione smakołykami a wszystko podsumowane sylwestrową zabawą. Jedni cieszą się, że to już koniec, drudzy chcą przeżyć pewne chwile jeszcze raz. Mimo wszystko rozpoczyna się nowy etap – Nowy Rok, czyli czas na zmiany... Co przyniesie? To zależy zwłaszcza od nas!

Ludzie mają negatywny stosunek do metamorfozy, gdyż uważają, że wymaga ona zbyt dużo wysiłku, czasu, zaangażowania i przede wszystkim świadomości. Z tego powodu postanowienia nie są realizowane, stają się niewykonalne i kończy się na pogadance. Z doświadczenia wiem, że

człowiek w takich chwilach jest dość przewidywalny. Nic nie zrobi a szuka poklasku dla prób swoich działań. Narzekanie, szukanie pocieszenia, otuchy, powrót do starych nawyków itd. Czy o to właściwie nam chodzi? Z pewnością nie!

Dobre nastawienie to podstawa. Zero przymusu, pełna świadomość. Następnie dostosowujemy nasze możliwości (lepiej mniej a porządniej), przygotowujemy plan działania i realizujemy go. Adekwatnym przykładem jest problem odchudzenia. Jeśli naprawdę chcemy schudnąć, musimy się zmobilizować, określić ilość zbędnych kilogramów i mądrze je stracić. Kiedy stanie się to przymusem, lepszym rozwiązaniem jest dążenie do zaakceptowania siebie i swojego

ciała. Przecież w efekcie także otrzymamy satysfakcję a piękno jest pojęciem różnie pojmowanym. Lepiej być człowiekiem wartościowym niż cukierkowym.

Warto zadbać również o różnicowanie naszych postanowień. Nie można poświęcić się tylko jednemu aspektowi życia, gdyż prowadzi to do codziennej monotonii a w efekcie co rok będziemy podejmować te same starania, których i tak nie zrealizujemy. Lepiej cieszyć się z osiągnięć i szukać kolejnych wyzwań, niż ubolewać nad własną nieudolnością i wmawiać sobie silną wolę. „W tym roku co prawda nie wyszło, ale w następnym to... Ho ho!” Znana Ci myśl? Tylko często nie zastanawiamy się nad tym, że z upływem lat

## Felietony

zmniejszamy poziom trudności a konsekwencje naszych działań stają się jednak większe.

„2001:  
Nie będę pił przed 17.00

2002: Nie  
tknę butelki przed południem.

2003: Nie  
zostanę alkoholikiem.

2004:  
Przestanę się spóźniać na spotkania AA.”

Choć to tylko dowcip, to jednak doskonale ukazuje problem dzisiejszych ludzi... Jednak pamiętajmy, że nasze postanowienia nie muszą łączyć się z wielkim poświęceniem prowadzącym do celu. Nie podejmujemy działań, które

nie usatysfakcjonują nas samych, bo zniechęcimy się szybko. Warto zrobić coś, co uszczęśliwi nas samych, ale także przyniesie pozytywny skutek ludzkości.

Wielu z Was może wydawać się, że pomysł noworocznych postanowień to dziecinada. „Po co? Przecież to tylko takie gadanie...” Jednak jest w tym coś magicznego. Nawet dążenie do częstszego uśmiechania się może przynieść coś dobrego. Być może nasz uśmiech stanie się dla kogoś motywacją do działania, które następnie może poprawić życie. Coś w stylu „podaj dalej” i to z większą siłą. Nie jesteśmy w stanie zmienić świata, dlate-

go misja jego podboju nie jest zbyt dobrym pomysłem, ale możemy sprawić, aby żyło nam się trochę lepiej.

Na zakończenie chciałabym wszystkich zachęcić do szukania celów na ten rok, bo mogą wyrwać nas z monotonii, trafnie ubarwić nasze pozaszkolne życie a przede wszystkim zmienić nastawienie do otoczenia. Jako zwolenniczka alternatywnych rozwiązań proponuję szukać inspiracji, które pomogą osiągnąć i utrwalić cel. Zatem bierzcie się do pracy! Pozostało już mniej niż dwanaście miesięcy...

Powodzenia!

*Joanna Kruszyńska*

## O Księżu słów kilka

Księżę z bajki to delikwent, o którym każdy słyszał, każdy wie, kim jest, lecz nikt go nie widział, dlatego pisząc ten tekst, czuję się, jakbym pisał do kartotek Archiwum X. Kim obecnie jest księżę z bajki? – to pytanie, na które zostałem poproszony, żeby odpowiedzieć. Hm, wyobrazenie o tej postaci zależy od tego, jaka płęć nas określa, oczywiście generalizując. Zacznę może od mężczyzn, ponieważ z wiadomych względów będzie mi łatwiej. Przedstawiciele płci mniej pięknej uważają go za zniewieściałego zdobywcę kobiecych serc popylającego

w rajtuzkach i posiadającego bujną czuprynę, którą cały czas poprawia, aby była idealna i podkreślała jego „męskość”. Także męska część społeczeństwa może nie odbierać go do końca pozytywnie ze względu na powodzenie u kobiet, a tym nie każdy może się pochwalić.

A teraz coś, na co normalny mężczyzna by się nie odważył, czyli coś wręcz idealnego dla mnie – czas zacząć myśleć jak kobieta. Wielu powie: „niemożliwe” i z nimi się zgadzam, ale czego się nie robi... Oczywiście do tak wymagającego zadania musiałem się odpowiednio przygotować.

Roczne badania i uprzejma pomoc obiektu doświadczalnego pozwalają mi chociaż częściowo oddać, kim dla kobiety może być księżę z bajki. Teraz przepraszam, ale za bardzo się wczułem i muszę wyjść przypadkowo nasek.

Dobrze, wróciłem, tak więc kontynuujemy. Zacznijmy od cech zewnętrznych naszego bohatera. Tu na warsztat idzie szereg różnorodnych cech, w zależności od kobiety – dla jednej to zgrabna pupa i chude nóżki, dla innej to spory bajceps i wyrzeźbiona klatka, a dla kolejnej to buźka aniołka i hipnotyzujące oczęta. I od-

wrotnie do wyobrażeń mężczyzn, księżę z bajki jest postacią posiadającą szereg cech charakteru. Szarmancki, kulturalny, ułożony, z wysublimowanym poczuciem humoru, posiadający zacny środek transportu i gustowną zbroję. Tak, teraz wszystkie kobiety już rozplývają się w swoim świecie fantazji i wszystkich innych, niezliczonych wyobra-

żeń. „Taaak, jak ja bym chciała mieć takiego księciaaaa..” Lecz niestety mam dla Was wszystkich złą wiadomość – jest to już gatunek na wymarciu. Dziękuję bardzo, to by było na tyle.

Mateusz Gerasik



kulturawiki.pl - pobrano z <http://kulturawiki.pl>

## W świecie kultury, kuchni i muzyki – czyli to, co lubię najbardziej

### 1. Kultura

„Grzeczność nie jest nauką łatwą, ani prostą” – to słowa Sędziego Soplicy, jednego z bohaterów narodowej epepei – „Pan Tadeusza”. Cytowana wypowiedź powinna być kluczem do postępowania w życiu dla każdego młodego człowieka. Moim zdaniem na naukę grzeczności w różnych okazjach nigdy nie jest za wcześnie, warto zwracać na to uwagę w wychowaniu najmłodszych. Dobre wychowanie, znajomość *savoir-vivre*’u to bardzo ważne elementy wychowania, które młodzi ludzie powinni wynieść z rodzinnego domu. Niestety nie w każdej zwracana jest na tę kwestię uwaga. Z tego powodu powstają problemy w zachowaniu młodzieży w szkole.

Zwróćmy uwagę na

zachowania uczniów wobec kadry pracowników szkoły. Nie każdy uczeń wie, jak powinien zwracać się do nauczycieli i pracowników szkoły. Uważam, że powinny być jednolite zasady określające prawidłowe relacje nauczyciel – uczeń. Język jest kodem, za pomocą którego przekazujemy odbiorcy informację. Sposób, w jaki go używamy, świadczy o naszym stosunku do rozmówcy. Nauczycielowi, jako osobie starszej, która prezentuje pewien poziom wiedzy, należy się szacunek. Dlatego jedyną poprawną formą zwracania się do nauczyciela jest „Proszę Pana”, „Proszę Pani”. W przypadku nauczyciela akademickiego, należy używać tytułów naukowych np. „Panie doktorze”, „Panie profesorze”. Uważam, że zwracanie się do nauczycieli z formą nazwiska jest zbyt ofi-

cialne i pasuje do stylu urzędowego. W szkole powinniśmy podkreślać, że relacje, jakie łączą nas z nauczycielami, nie są koleżeńskie, ale oparte na szacunku i wzajemnym zrozumieniu.

Nauka prawidłowego zachowania w społeczeństwie jest bardzo ważnym elementem wychowania młodego człowieka. Już od najmłodszych lat należy wymagać używania odpowiednich form w zwracaniu się do starszych ludzi. Coraz częściej spotykamy się jednak z tendencją, kiedy to rodzice i dziadkowie pozwolą dzieciom na mówienie do siebie „po imieniu”. Taka postawa jest prywatną decyzją każdej rodziny, ale może ona powodować to, że dzieci nie rozumieją zasad panujących w innych środowiskach. Ta-



kich zasad należy się uczyć w młodym wieku, aby przyswoić je na całe życie. Ludzie, którzy znają *savoir-vivre*, postrzegani są jako dobrze wychowani i kulturalni. To sprawia, że nawiązujemy nowe znajomości z ludźmi o podobnym modelu wychowania, ponieważ przez osoby nienauczone dobrych manier jesteśmy wytykani, traktowani jak ludzie zachowujący się dla nich dosyć dziwnie.

### 2. Kuchnia

Ten artykuł, rozpoczynający cykl „W świecie kultury, kuchni i muzyki...” poświęcam owocowi, który każda gospodyni ma swojej kuchni – cytrynie, oraz dołączam mój przepis na obiad, którym możemy zaimponować drugiej osobie.

#### Cytryna

Rodzina: rutowate

Kraj pochodzenia: Chiny

Owoc, który ma wiele zastosowań w kuchni, domowym leczeniu, lecz najczęściej wrzucamy go po prostu do herbaty – co jest błędem z perspektywy *savoir-vivre*'u (o tym za miesiąc). Mieszanka składników herbaty i cytryny powoduje powstawanie tzn. cytrianu glinu, który zagraża naszemu zdrowiu. Bezpośrednim winowajcą uszczerbku na zdrowiu jest aluminium, które, odkładając się na przykład w mózgu, może prowadzić do choroby Alzheimera. Sama

herbata, pomimo dużej zawartości aluminium, nie jest szkodliwa. Wręcz przeciwnie. Znajduje się w niej bogactwo antyoksydantów a glin występuje w postaci nieprzyswajalnej dla organizmu. Sytuacja zmienia się, gdy dodamy plasterki cytryny. Nieprzyswajalne aluminium zmienia się w łatwo wchłaniany cytrynian glinu, a wprowadzony do organizmu w ten sposób metal odkłada się w różnych tkankach, uszkadzając je. Odbiegając od herbaty, cytryna to przede wszystkim



kim źródło witamin. Według dr Hanny Kryszyńskiej, doktora chemii, cytryna zabiera z naszego organizmu zbędne produkty przemiany materii i szkodzące substancje.

#### A teraz mój przepis: Karkówka z nadzieniem bazyliowo-tymiankowym

około 1,5 kg chudej karkówki, sól, czarny pieprz, 4 roztarte ząbki czosnku, majeranek, świeża bazylija i świeży tymianek (ziola kupisz w Marc Polu), 2 kwaśne jabłka, 8 ziemniaków, 2 marchewki i oliwa

Mięso dokładnie osuszyć, ostrym nożem rozkroić na płat. Mięso nacieramy majerankiem, czosnkiem, pieprzem i solą. Kładziemy świeże zioła. Posypać startym serem mozzarella, by mięso skleić podczas pieczenia. Karkówkę zwinąć i związać sznurkiem, by się nie rozpadła. Piekarnik rozgrzać do 180 stopni C. Do pieca wstawić roladę razem z pokrojonymi w ćwiartki jabłkami i piec przez około 1.5 godziny Marchewkę pokroić w grube plastry, ziemniaki w ćwiartki. Gotować na parze. Do parowanych warzyw dodać odrobinę oliwy, soli, pieprzu. I pozostaje tylko delektować się smakiem dobrego obiadu.

Smacznego!

### 3. Muzyka

1 stycznia jak co roku w Złotej Sali Filharmonii Wiedeńskiej odbył się Koncert Noworoczny Filharmoników Wiedeńskich. Wiele osób nie może pozwolić sobie na tego typu wyjazd do Wiednia na koncert, ponieważ by kupić bilet, trzeba wypełnić kartę zgłoszeniową i zostać wylosowanym przez szanowaną maszynę losującą. Cena biletów waha się od 30 euro do 940 euro. Niektóre osoby, mające zakorzenioną tradycję uczestnictwa w koncertach, mają miejsca przekazywane z pokolenia na pokolenie. Na koncert przybywa tak naprawdę elita świata oraz arystokracja z obecnymi i byłymi rodzin monarchów.

## Felietony

Historia koncertu sięga 1939 roku, kiedy to po raz pierwszy filharmonicy go odegrali. Owo wydarzenie kulturalno-muzyczne poświęcone jest rodzinie Straussów - Johannie (ojcu), Johanie i Eduardowi - synom. Tradycyjnie wykonywane są podczas tego koncertu walc „Nad pięknym mod-

rym Dunajem” (od 1945), „Marsz Radetzky’ego” (od 1946), „Reiter - Marsch”. Sala koncertowa przystrojona jest kwiatami dostarczonymi tradycyjnie od 1980 w darze z włoskiego miasta San Remo. Koncertami dyrygowały takie osobistości jak: Herbert von Karajan, Georges Pretre

ges Pretre czy Claudio Abbado. W tym roku schedę po nich przejął austriacki dyrygent Franc Welser - Möst.

*Rafał Szymański*

## Żeglarstwo — nie tylko sport

Możliwe, że wielu z Was miało do czynienia w mniej lub bardziej bezpośredni sposób z żeglarstwem. Jest to sport należący do wymagających nie tylko pod względem fizycznym, ale również pod kątem konkretnej wiedzy na temat wielu dziedzin. Nie należy również do najtańszych. Jednak daje olbrzymią satysfakcję - przybycie do portu po wielu godzinach spędzonych na morzu było jednym z miłszych doświadczeń w moim życiu. W tym artykule zamierzam przedstawić żeglarstwo takim, jakim jest - bez konfabulowania, jak bardzo ten sport jest piękny, gdyż obejmuje również ciężkie do zniesienia sytuacje. Różnice występują również pomiędzy żegluga śródlądową a pełnomorską.

Jak już wcześniej wspomniałem, jest to sport, w którym bardziej przydaje się konkretna wiedza oraz doświadczenie niż sprawność fizyczna. Podstawowym stopniem żeglarskim jest żeglarz

jachtowy. Aby go osiągnąć nie trzeba mieć żadnej przeszłości związanej z żeglarstwem. Należy jednak przejść odpowiedni kurs, podczas którego pozna się niezbędne podstawy z różnych dziedzin m. in. z meteorologii, teorii żeglowania (związane z fizyką), locji (znaki podczas żeglowania) oraz prawa. Potrzebna będzie również znajomość prac bosmańskich, czyli potocznie nazywanych węzłów. Kurs odbywa się



w siedzibach klubów lub na odpowiednich obozach (jako ciekawostkę mogę podać, że usłyszałem kiedyś interesujące stwierdzenie: „Na obozach stacjonarnych człowiek uczy się żeglować, na obozach wędrownych uczy się żeglarstwa”). Następnie trzeba zdać egzamin, który nie należy do najtrudniejszych, ale składa się z 3 części: teoretycznej, egzaminu z prac bosmańskich oraz praktycznej. Teoretyczna jest testem wyboru z ze wszystkich wyżej wspomnianych dziedzin. Podczas egzaminu z prac bosmańskich trzeba wykazać się znajomością podstawowych węzłów, jakie stosuje się na jachcie, a także w różnych innych sytuacjach np. przy cumowaniu. Część praktyczna oznacza manewrowanie jachtem - sprawdza umiejętności potencjalnego żeglarza przy kierowaniu pracą na jachcie. I tyle jest oczekiwane od żeglarza jachtowego, który może poruszać się po wszystkich wodach śródlądowych oraz po wodach morskich do





2 mil morskich od brzegu w dzień. Następnym stopniem jest sternik jachtowy. Aby go zdobyć, niezbędne jest spędzenie minimum 200 godzin podczas co najmniej 2 rejsów na morzu i trzeba mieć ukończone 18 lat (choć kurs i egzamin można zaliczyć wcześniej). Następnie procedura jest podobna – trzeba odbyć kurs i zdać egzamin. Jeśli zamierzamy wybrać się na morze z naszą załogą, potrzebny będzie nam kurs obsługi radia pokładowego. Dalszymi stopniami są jachtowy sternik morski oraz kapitan. Niestety nie jestem w stanie podać precyzyjnie wymagań, jakie należy spełnić, aby otrzymać te patenty. Na pewno niezbędne jest spędzenie ok. 600 godzin na akwenach z pływami (na sternika morskiego). Warto też dodać, że nie potrzeba posiadać patentu, aby wypożyczyć łódkę do 7,5 metra, więc niech nas nie dziwi, jeśli spotkamy kogoś żeglującego bez patentu.

### Żegluga śródlądowa

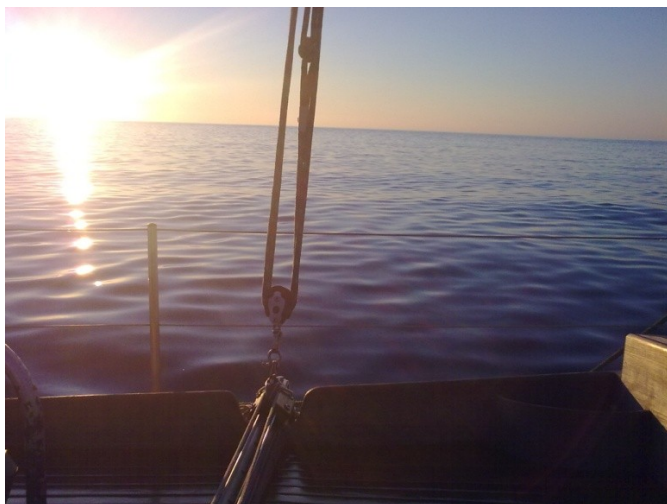
Żegluga śródlądowa jest o wiele prostsza od morskiej (będę ją opisywał na przykładzie jezior na Mazurach). Paradoksalnie może dostarczać sporo wrażeń ze względu na to, że częściej trzeba wykonywać więcej zwrotów na zbiorniku wodnym, na którym jest o wiele mniej miejsca niż na morzu. Większe jest też ryzyko wpadnięcia w bujną roślinność litoralu (najczęściej w tzw. „trzciny”). Nie spotkamy tam również tak wielu dużych jednostek. Należy pamiętać, że pierwszeństwo przed wszystkimi mają... statki wycieczkowe. Pływa się pod zdecydowanie mniejszą presją, wiedząc, że można w każdej chwili dobić do brzegu i na pewno znajdzie się miejsce na nocleg. Zwykle w nocy można spać więcej niż 5 godzin. Żegluga nocą na Mazurach jest zabroniona ze względu na to, że szlak wodny nie jest oznaczony światłami i widać go jedy-

nie za dnia. Właściciele przystani różnie liczą sobie za cumowanie. Możliwe jest również stanie na dziko... Co kto lubi i w miarę możliwości, bo nie zawsze zdąży się dopłynąć do portu. Kwestia higieny osobistej jest również łatwiejsza – przy większości portów lub przystani jest sanitariat (cena wysoka), coś przypominające sanitariat (cena średnia) lub coś, co nazywa się sanitariatem (cena niska lub dostępne za darmo w miarę życzliwości właściciela). Właśnie koszt takiej usługi na Mazurach jest często lekko wygórowany... Z tego, co pamiętam, najwyżej cenią się w Sztynorcie. Niestety turyści nierzadko wolą zaliczyć kąpiel w jeziorze, co na pewno nie wpływa korzystnie na jakość wód. Rejsy po jeziorach są bardzo popularne, jednak każdy, kto myśli poważniej o żeglarstwie, powinien zdecydować się na wyruszenie na morze... O tym w następnym paragrafie...

### Żegluga morska

Żegluga morska jest odmienna od tej, jaką zaprezentowałem w poprzednim akapicie. Po pierwsze presja jest zdecydowanie większa – na jeziorze wystarczy mieć na pokładzie żeglarza jachtowego, tutaj potrzeba kogoś z o wiele większym doświadczeniem. Trzeba uważnie obserwować pogodę, bo wpadnięcie w sztorm nie należy do najprzyjemniejszych ani najbezpieczniejszych. Jednostki morskie są zdecydowanie większe





5 zł za 10 minut. Wymagana jest służba na jachcie przez 24h, także w nocy można popasać bez przerw maksymalnie 4 godziny. Statek sam sobą nie będzie sterował,

i mają większą powierzchnię ożaglowania. Odległość od brzegu jest większa, więc nie jest możliwe, aby zrobić postój na nocleg lub posiłek – wszystko trzeba organizować na statku. Zapasy słodkiej wody trzeba zawsze uzupełniać w porcie, ponieważ jest ona niezbędna do wielu czynności np. mycia naczyń. Możliwe jest też pompowanie wody z morza, chociaż... z własnego doświadczenia wiem, że zapach tej wody może budzić wątpliwości (dla spragnionych szczegółów – aromat zgniłych jaj – nie jestem pewien czy była to wina instalacji statku, czy jakości wody Bałtyku). Na morze nie powinny się wybierać osoby, które są przywiązane do lądowych wygód. Rejs po morzu wymaga nie tylko wytrzymałości fizycznej, lecz również psychicznej. Często płynie się 50 godzin w jedną stronę – bez przerwy na postój. Higiena... tylko w portach, ale za to ceny są zwykle o wiele niższe np. w Tejn na Bornholmie za darmo są dostępne prysznice, które w Polsce pewnie kosztowałyby

ktos musi pilnować kursu (efektywne kręcenie kołem sterowym znane z filmów jest fikcją, nie powinno się tego robić). Załoga zwykle jest podzielona na wachty, które zmieniają się według ustawionego przez kapitana planu. Każdą wachtą dowodzi wyznaczony przez kapitana oficer, który wyróżnia się stopniem żeglarskim, a w drugiej kolejności wiekiem oraz ilością godzin spędzonych podczas rejsów pełnomorskich. Na morzu nie robi się tak wielu zwrotów, jeśli wiatr jest korzystny (np. wieje od tyłu). Jednak plan podróży jest uzależniony od kierunku wiatru, który często może się zmieniać lub przybierać na sile. Wymagane jest również korzystanie z mapy i oznaczanie na niej pozycji. W tym celu na zdecydowanej większości jachtów znajduje się wskaźnik prędkości w węzłach (milach morskich na godzinę) i sprzęt GPS, który pokazuje współrzędne – wystarczy je tylko nanieść na mapę. Trzeba prowadzić również dziennik pokładowy, w którym uwzględniane są warunki po-

godowe, pozycja oraz inne wydarzenia na morzu. Na jachcie często bywa nudno, więc trzeba mieć jakąś rozrywkę na czas, gdy można nic nie robić. Książka albo odtwarzacz plików MP3 powinny rozwiązać ten problem. Nigdzie nie da się więcej nauczyć niż na takim rejsie. Liczyć się trzeba z tym, że może nas dopaść choroba morska – nie jest to nic, czego należało by się wstydzić, bo nawet osoby najbardziej doświadczone cierpią na tę dolegliwość...

### Rodzaje jachtów

Jachty różnią się między sobą budową. Duże znaczenie ma balast. Jachty mogą być mieczowe, balastowe lub balastowo – mieczowe. W jachtach mieczowych środek ciężkości jest położony powyżej środka wyporu. Dla takiego jachtu istnieje tzw. kąt krytyczny, przy którym możliwe jest jeszcze wyprostowanie jachtu. Po przekroczeniu go zarówno siła wyporu, jak i ciężkości obraca jacht tak, że zostanie on wywrócony. W jachtach balastowych jest inaczej – tam środek ciężkości znajduje się poniżej środka wyporu. Dzięki tej cesze jacht balastowy jest niewywracalny.

Ze względu na typ osprzętu jachtu jednomasztowego najczęściej przez nas spotykany jest słup, który posiada 1 maszt i 2 żagle: fok oraz grot. Możliwa jest również obecność większej ilości żagli oraz masztów – są to różne typy ożaglo-

wania. Z filmów znane są na pewno wszystkim jachty rejoye (posiadające reje, czyli poziome drzewce przytwierdzone do masztu). Do obsługi takich żagli potrzebna jest o wiele większa liczba osób. Więcej szczegółów nt. budowy jachtów poznają ci, którzy zdecydowali się przystąpić do kursu na żeglarza jachtowego.

Żeglarstwo nie należy do najtańszych sportów. Dobra żaglówka, która umożliwi nam żeglugę po jeziorach, może kosztować nawet tyle, ile dobrej klasy samochód. Na szczęście istnieją wypożyczalnie jachtów, które czarterują jachty. Opłata jest liczona od

każdego dnia użytkowania, a ceny zaczynają się od 100 zł w górę, więc jeśli spędza się w ten sposób czas ze znajomymi, nie jest to aż tak wielki koszt. Można też pojechać na obóz wędrowny lub stacjonarny, podczas którego można doskonalić zdobyte już umiejętności lub wyrobić sobie patent żeglarza jachtowego. Istnieją też oferty spędzania czasu pod żaglami za granicą. Wyjątkowo atrakcyjne jest oczywiście Morze Śródziemne oraz Morze Północne, a początkujący mogą wybrać się na Bałtyk.

Mam nadzieję, że temat żeglarstwa jest teraz Wam nie-

co bliższy niż przed przeczytaniem artykułu. Nie udało mi się ująć wszystkich jego aspektów. Nie sposób omówić każdej z dziedzin w paru zdaniach, ponieważ nie ma to większego sensu. Jednak należy pamiętać, że dla wielu osób jest to coś więcej niż tylko sport – to ich życiowa pasja i często także źródło utrzymania. Nie wystarczy być sprawnym fizycznie, aby uprawiać tę dyscyplinę sportu, gdyż większość zagadnień oparta jest na wiedzy i własnym, często wieloletnim, doświadczeniu.

*Dariusz Gotębiowski*

## Problemy z lekturami

Jak wszyscy wiedzą, uczniowie często niechętnie podchodzą do czytania lektur szkolnych. Nawet dla osób lubiących czytać książki, lektury wydają się mało przyciągające, może dlatego, że ich czytanie to obowiązek, a nie własny wybór. Romantyzm to dla mnie szczególnie epoka – żadna z jej lektur nie była dla mnie ciekawa.

Weźmy „Cierpienia młodego Wertera” – mimo że jest to krótka książka, to wydaje się rozległa. Duża ilość opisów uczuć Wertera sprawia, że akcja staje się bardzo wolna i nudna. Czytając tę książkę, miałem wrażenie, że czytam

ciągle to samo.

Poznając lekturę, chcę się ją jak najszybciej dokończyć, wykonać zadanie. Szybkie czytanie sprawia, że wiele się pomija, a chwila zastanowienia nad jakimś zdaniem raczej się nie zdarza. W ten sposób ciężko uchwycić najważniejsze treści. Romantyzm wymaga powolnej lektury i myślenia nad tym, co się czyta. Szybkie czytanie daje nie najlepsze wyniki.

Gdybym mógł wybrać, czy czytać np. „Dziady”, to nigdy bym ich nie przeczytał. Niewątpliwie niektórym osobom się podobają, jednak myślę, że dla większości z nas

„Dziady” to tylko lektura, niemająca nic wspólnego z przyjemnością. Wiele obowiązkowych książek jest ciekawych, ale romantyzm to akurat epoka, która stanowczo nie zachęca do czytania lektur.

*Damian Pietruszewski*

## Chaos w muzyce

Jeśli ktoś miałby opisać dzisiejszy świat, musiałby według mnie użyć takich słów jak zamęt czy chaos – bo już dawno świat przekroczył rozmiar pozwalający na ogarnięcie go jednym rozumem. Dzisiaj, w czasie nowoczesnej technologii i prymitywnego człowieka, jesteśmy bardziej zagubieni niż kiedykolwiek wcześniej. Znajduje to odzwierciedlenie w muzyce, która jest przecież wyrazem czasów, nieprawdaż? Postanowiłem przedstawić tu trzy nie za bardzo znane zespoły, z których każdy jakoś odzwierciedla schizofrenicznego ducha naszej epoki.

Chaos w wersji twórczej i kreatywnej prezentuje zespół **A Day To Remember**. W ich muzyce polega to na jednym – połączeniu gitarowego zgiełku godnego death metalu w zwrotkach z cukierkowo słodkimi refrenami, które już po pierwszym odsłuchaniu zagnieżdżają się na stale w głowie. Jeśli powyższe zdanie jest dla Was niejasne, możecie sprawdzić to sami – i przesłuchać najlepszy album grupy, **Homesick**, z 2009. Najlepiej zacząć od kawałków **My Life For Hire, I'm Made of Wax, Larry** czy też **Mr. Highway Thinking About The End**. Uważam, że to, co wyrabia w nich wokalista, przechodząc na zmianę od wokalów a la Nergal do męskiej wersji Keshy

czy Katie Perry, jest... co najmniej urocze. Największą siłą zespołu stanowi właśnie to odświeżające podejście do muzyki, no i świetne kawałki, które mają pozytywną energię równą wybuchowi bomby na irackim bazarku. ADTR to jednak nie tylko zabawa jednym konceptem – zespół zachwyci każdego geeka i nerda, przemyca bowiem w tytułach i tekstach piosenek wiele nawiązań do komputerowej kontrkultury – ot, choćby cytaty z kultowych filmów (np. **Świt Żywych Trupów**), jajcarskie podejście do metalowych świętości czy wykorzystanie, \*ekhem\*, ikon Internetu w teledyskach (Ron Jeremy – jeśli nie wiecie, kóż to, **OSTROŻNIE** to sobie wygooglujcie).

Nieco inaczej wygląda **The Dillinger Escape Plan**. Zespół ten wywodzi się z nieznanego raczej szerszej nurtu Mathcore (który to wywiódł się z hardcore'u i post-rocka, które z kolei wywodzą się od... bla, bla). Mathcore opiera się na jednym założeniu – jest to muzyka możliwie agresywna, ale zrywająca zarazem ze wszystkim, co kojarzy się z klasycznym metalem (który to właściwie od rewolucji nu-metalu z lat 90. jest artystycznie martwy). To znaczy? Cóż, zapomnijcie o podniosłych, długich solówkach, banalnych tekstach

o s z a t a n i e / p i e k l e / eksdziejczynie. Zapomnijcie o długich włosach. Zapomnijcie nawet o zwykłych piosenkach zwrotka-refren-zwrotka-refren-solo. Typowa piosenka mathcore'owa to najczęściej dwuminutowy zapis torturowania instrumentów w pociętych rytmach (ot, np. 15/8 przechodzące nagle w 5/4) z wokalistą, rzygającym tekst godny niemieckich filozofów o srogich nazwiskach. Całkowite zerwanie z klasyczną formą i treścią.

Meloman w tym momencie podnosi brew, zwykły słuchacz raczej się zniechęca (w najlepszym wypadku). Tyle że mathcore wyraża się też obcesyjnym łękiem przed szufladkowaniem, więc często można usłyszeć na ich płytach kompozycje... popowe. Albo jazzowe. Albo piosenkę bluesową, która w połowie przechodzi w zwariowane techno zmiksowane z gitarowymi riffami z piekła. Ot, chaos.

Rozpisałem się o gatunku, tymczasem miałem pisać o konkretnym zespole. The Dillinger Escape Plan to najbardziej skomplikowany i dojrzały zespół z tej fali, przejawiający niesamowity talent kompozytorski – **Black Bubblegum** można by puścić zarówno w Radiu Eska, jak i na Przy-



stanku Woodstock, **Milk Lizard** ze swingującą trąbką zmusiłoby do tańca/dzikiego moshowania trupa, a **Farewell, Mona Lisa** to już właściwie Pink Floydzi w wersji metal. Te kawałki nadają się dla każdego – a jest jeszcze mnóstwo rzeczy, które zachwycą co bardziej hardcor'owych fanów metalu: **Fix Your Face, Phone Home** czy też totalnie ekstremalny **Mullet Burden**. I jeszcze jedno – warto sobie zobaczyć, nawet na YouTube, jakiś koncert tDEP. Bardziej hardkorowo się nie da grać. Chyba.

No ale nie każdemu taka hardkorowość musi przypaść do gustu, prawda? Po jednej stronie okna śnieg, po dru-

giej fotel i kubek dobrej herbaty... zimowe wieczory nastrajają do przemyśleń, może nawet bardziej niż jesienne.

Zespołem, który idealnie odwzorowuje zimowy pejzaż, jest **65daysofstatic**. Trudno opisać ich styl muzyczny – pełen skomplikowanych podziałów rytmicznych, delikatnych dźwięków pianina, sampli elektronicznych z dialogami z filmów i książek oraz delikatnej gitary, którą da się opisać jednym słowem: nastrojowa. Jeśli jeszcze tego nie słyszycie, sprawdźcie sobie sztandarowe kawałki grupy – **Radio Protector**, **Fix The Sky A Little** czy też **I Swallowed Hard, Like I Understood**. Chaos

w kompozycjach 65dos polega na jeszcze innym podejściu do muzyki niż u dwóch powyższych zespołów – A Day To Remember urzeka luzem w podejściu do tworzenia, Dillinger to czysta anarchia, destrukcja, dekonstrukcja i wściekła macicy. Z utworów 65dos bije zaś według mnie jeszcze inny typ chaosu – nieskrępowany, dojrzały duch stworzenia.

Oczywiście możecie uznać, że bełkoczę. Ale i tak jest to genialna muzyka. Może nie dla każdego... ale mnie to na pewno nie przeszkadza. Wypada mieć nadzieję, że Wam też nie.

Szymon Zwierew

## Słoneczne reggae, przygoda na Jamajce?



Ostatnio zauważyłem nagłą zmianę gustów i upodobań muzycznych. W popularnym show „Mam Talent” wystąpił bardzo uzdolniony wokalista – Kamil Bednarek, który oczarował widzów swoim ciepłym i przyjaznym głosem. Nie jest on osobą, która przyjęła popowy i tym samym zbyt banalny repertuar. Bednarek jest człon-

kiem zespołu grającego muzykę reggae, więc skoncentrował się na tym właśnie gatunku. Jest to bardzo pokojowa i niekomercyjna muzyka. Nie jest to gatunek, który słyszymy codziennie, włączając RMF FM lub Radio Zet. Na facebooku można natomiast zauważyć, że dziewczęta (choć również i chłopcy) do niedawna słuchający Rihanny, w porywach Lady Gagi, stali się fanami – na zabój – tego właśnie gatunku. Na pierwszy rzut oka nie ma w tym nic złego. To nawet dobrze, że wiele osób zmieniło swoje upodobania i powoli zaczyna rezygnować z radiowej i, delikatnie mówiąc, nieciekawej muzyki (oczywiście mam

na myśli kilka najbardziej popularnych stacji radiowych).

Niestety smutne jest to, że dzisiejsi fani nie mają ochoty zajrzeć nawet do Wikipedii, by przeczytać, co to naprawdę jest to reggae, żeby nie wyjść na, lekko mówiąc, pozera. Zawsze dobrze znać kilka zespołów danego gatunku i zapoznać się przynajmniej z kawałkiem jego historii. Kiedy i jak powstał, jakie zespoły były jego pionierami?

Od dzisiejszych „słuchaczy” dowiadujemy się, że Eric Clapton napisał piosenkę „I shot the sheriff”, a nie jakiś tam nikomu nieznany Bob Marley. Również słysząc pio-

## Kultura

senkę „Tears in heaven” – piękną balladę Claptona opowiadającą o tragicznej śmierci jego kilkuletniego syna, pierwszy komentarz jest takiego rodzaju: „Przecież to Kamil Bednarek śpiewał, ale to jest jakaś dziwna wersja!”. Cóż to za różnica w końcu. Eric Clapton to muzyk rockowo-bluesowy, a Bob Marley – tak naprawdę ojciec wszystkich zespołów grających muzykę wywodzącą się z Jamajki.

Sięgając do naszej pamięci, w „Mam Talent” występował zespół Audiofeels. Wykonali oni piosenkę zespołu Red Hot Chili Peppers pt. „Otherside”. Co się stało? Po dwóch dniach wszyscy byli fanami Red Hotów i dumnie nosili ich koszulki. Byłoby jednak cudownie, gdyby pozostali tymi fanami, a nie po zakończeniu edycji show rzucili koszulki w kąt i wrócili do swoich muzycznych klimatów. Zastanawiam się w tym momencie, czy za kilka, kilkanaście lat usłyszymy czasami w radiu dosłownie parę piosenek, na których wychowały się całe pokolenia. Na wspomniane pytanie nie da się teraz odpowiedzieć. Jednak smutno się robi na myśl o tym, że przyszłe pokolenia nie będą znały Beatlesów, Zeppelinów lub Floydów.

Wracając do głównego wątku, ważne jest to, żeby być szczerym, a nie udawać, że się słucha punka, reggae, metalu, by być bardziej rozpoznawalnym w szkole. Nieważne jest to, że na plecaku ma się trójko-

lorową naszywkę, pentagram lub pacyfkę. Ważne jest, by być sobą. Reggae jest tutaj tylko przykładem, bo to samo dotyczy innych gatunków. Jeżeli lepiej się czujemy z odtwarzaczem mp3, na którym nagrana jest cała dyskografia Rihanny lub Lady Gagi, to czemu mamy okłamywać innych i tak naprawdę samego siebie? I tak z czasem wyjdą na jaw nasze muzyczne gusta, a z powodu kłamstwa inni nie będą nas traktować poważnie.

*Łukasz Magnuszewski*



## Polska niewstydliva scena muzyczna

Hmmm... i jak tu sprawić, żeby kara nie była karą, a przyjemnością, jeżeli nie dla mnie, to przynajmniej dla tych, którzy jej efekty będą mogli oglądać. Mnóstwo czasu na przemyślenia, o czym tu napisać, jęczenie, że nic się mądrego nie skleci (tak też się pewnie stanie w moim przypadku, za co z góry przepraszam tych, którzy podjęli wyzwanie i spróbują się zmierzyć z moją radosną twórczością). „Napisz o swojej pasji”. Prawie od razu przyszła mi na myśl siatkówka, ale po kolejnym wf-ie, na którym dziewczyny przekonały mnie, że nie jest to ich ulubiony sport (pokazały to w bardzo dobitny sposób), doszłam do wniosku, że większość z Was nie podzieliłaby mojego zdania na temat tej dyscypliny sportu. W końcu padło na muzykę. Temat pewnie powielany po stokroć, ale przyszło mi do głowy, że może ciekawie byłoby napisać o muzyce naszej, polskiej. Każdy ma swój ulubiony zespół, ale zazwyczaj są to grupy zagraniczne, ja swego czasu byłam zupełnie zamknięta na jakiegokolwiek propozycje muzyczne z naszego kraju... Dlaczego? Może przez to, że za bardzo skupiałam się na „gwiazdach”, które zniechęcają człowieka do dalszego poznawania ich twórczości (a kolejne tandetne boysbandy, czy wokalistki pop są w tym mistrzami, to trzeba im przyznać...), a może po prostu dla

tego, że nikt (do pewnego czasu oczywiście, z naciskiem na początek nauki w gimnazjum i z wyrazami uwielbienia kierowanymi ku starszej siostrze) nie wskazał mi odpowiedniej drogi.

Więc na początek muzyka trudna do scharakteryzowania i zakwalifikowania do jakiegokolwiek stylu. Z chęcią teraz napisałabym folkmetal, bo do tego typu muzyki też są przypisywani, ale po tym, jak usłyszałam ich na żywo, określenie: „muzyka zaskakująca swoją innością, niesamowicie oryginalna” będzie chyba najbardziej odpowiednie, wiem, że to maksymalnie nieprofesjonalne (ale taki jest też mój związek z muzyką i wszystko, co tu piszę, jest tylko moim skromnym, bardzo subiektywnym zdaniem, z którym większość z Was pewnie się nie zgodzi), ale chyba mi wybaczyć, a gdy ich posłuchacie, sami zrozumiecie. Stanowią niesamowity kolektyw, już samo patrzenie na nich przysparza mnóstwa pozytywnych odczuć. A wszystko zaczęło się na koncercie Lao Che (o którym w dalszej części), tam też byli supportem i tam właśnie ich poznałam, co prawda już wcześniej słyszałam kilka ich piosenek, ale to, co pokazali na scenie, kompletnie powaliło mnie na kolana swoją innością: mnogością instrumentów (których nazwy do tej pory były mi zupełnie nieznane: lira

korbową, fidel renesansowa, drumla), magnetyzującymi głosami wokalistek i wokalisty oraz tekstami. Mowa o **Żywiołaku**, polskim zespole, który gra, jak sami jego członkowie „się definiują „polską muzykę neoludową”. Myślę, że warto zajrzeć w ich dyskografię, chociażby po to, żeby przeżyć estetyczne zderzenie z muzyką, która nie jest na tyle rozpropagowana, żeby spotykać się z nią na co dzień. Zderzenie może okazać się oczywiście totalną porażką, ale może też sprawić, że kolejny zespół dołączy do Waszej toplisty.

W Polsce mamy mnóstwo, moim zdaniem, zespołów, z których brzmień możemy być dumni, ale jestem pewna, że nad ich świetnością nie muszę się rozpisywać, bo zapewne każdy słyszał o takich formacjach jak **Coma** (o ich sukcesie świadczy chociażby ilość sprzedawanych płyt czy frekwencja na koncertach, które wręcz emanują niesamowitą energią i są swego rodzaju przedstawieniami, z całą fabułą w tle, czego dość zabawnym przykładem może być chociażby gotowanie rosółu w trakcie koncertu, czy imponujące aranżacje scen do konkretnych kawałków, jak miało to miejsce w trakcie nagrywania przez łódzki zespół wydania DVD swojego koncertu. Ich wystąpienia są istnym spektaklem, nie tylko dla ucha, ale i dla oka. Zespół,



## Kultura

który porywa brzmieniem i uzależnia...), **Lao Che** (którzy swoją płytą „Powstanie Warszawskie” „odkurzyli” polską historię chyba w najlepszym stylu, w jakim mógł zrobić to zespół. Idealna lekcja historii dla wszystkich Polaków. Niedawno uraczyli swoich fanów nową płytą „Prąd stały/Prąd Zmienny” obfitującą, jak zwykle zresztą, w niesamowite teksty Spiętego, pełne gier słownych i konceptów na fabuły często bardzo abstrakcyjne, jak chociażby w kawałku „Życie jest jak tramwaj”), **Hunter** (zespół, który w połączeniu z Jelonkiem robi coś porównywalnego do wlewania wody do kwasu. Robią coś, co w zasadzie... nie powinno ze sobą współgrać, ale jest zupełnie inaczej, oni dokonali połączenia idealnego, skrzypce Jelonka i brzmienia gitar idealnie są komponują), **Hey** (zespół istniejący od 1992 roku, sam ten fakt świadczy o tym, że ma za sobą bogatą przeszłość muzyczną. Wokalistka jest legendą samą w sobie. Przesadnie skromna kobieta o głosie, który może zdziałać wszystko. Ostatnia z dziesięciu wydanych płyt nie zawiodła chyba nikogo, „Miłość! Uwaga! Ratunku! Pomocy!”).

Wymieniać by tak można jeszcze długo, bo mamy jeszcze takie gwiazdy muzyki jak **Kazik**, na którym wychowują się pokolenia, **Myslovitz** (znajomość tekstów ich co niektórych piosenek jest wręcz rzeczą naturalną), **T. Love**, **Republika**, którzy kreowali pol-

ski rynek muzyczny już we wczesnych latach osiemdziesiątych i wiele, wiele innych zespołów, o których warto pamiętać. Mam nadzieję, że udało mi się obronić moją tezę dotyczącą polskiej muzyki i przy okazji nie uraziłam niczyich gustów muzycznych.

-Ada Rzewińska



## Wielogłos o metrze

**Autor: Klaudia Kołodziejczyk**

Dzień mikołajek – 6. grudnia. Zwykły dzień pracy, więc i wtedy, tak jak zawsze, wszyscy artyści teatru Buffo w Warszawie są gotowi do występu. Ten szósty grudnia, cały zasypany śniegiem, nie jest zwykłym dniem, nie takim jak dla pracowników teatru. Każdy z nas, każdy, kto znajdował się w sali widział, spektakl po raz pierwszy. I myślę, że był zachwycony.

O godzinie 17 rozlega się charakterystyczny gong i błyskawicznie gasną wszelkie światła. Na scenie święcą się tylko dwa reflektory oświetlające dwie osoby. Nikt nie wie, kim są, nic nie mówią, tylko siedzą nieruchomo. Nagle oczy wszystkich zwracają się na boczną ścianę teatru, gdzie na wielkim ekranie pojawiają się tancerze, zapewne z poprzednich lat. Widać też jednego, charakterystycznego człowieka, zapewne tego, który stworzył ten niesamowity spektakl. Są to wspomnienia pierwszego wydania metra, tego, który wystawiano nawet na Broadway'u. Następnie niezwykła iluminacja świetlna ukazuje wszystkim tak dobrze znany tytuł: Metro. Gdy napis znika, musical się rozpoczyna.

Każdemu, kto widział ten spektakl, zapewne pozostało w pamięci zdanie, wypowiedziane przez główną boha-

terkę: „Nikt nie powiedział zostać, więc sobie poszłam”. Te niezwykle słowa rozpoczynają całe wydarzenie, a zaraz po tym rozlega się pierwsza piosenka tego wieczoru. Śpiewa ją Jan, jeden z głównych bohaterów przedstawienia, dla którego tytułowe metro jest domem, w którym gra i śpiewa. To właśnie tu, w metrze, każdy, kto ma dość znajdującego się na górze świata, znajduje swoje schronienie, tak jak Anka, główna bohaterka, autorka wspomnianych wcześniej słów.

„Metro” to opowieść o młodych ludziach pełnych energii i ambicji, którzy chcą zmienić świat, trafiając do innych przez śpiew i taniec. Ta grupa miejscowej młodzieży zmienia się i zdecydowana jest spełniać swoje największe marzenia. Każdy z nich chce stać się gwiazdą, chce zaznać smaku sławy, dlatego zdają sobie sprawę, że w tym wypadku niezbędne są przede wszystkim pieniądze. Jan jednak uświadamia im, co tak naprawdę jest w życiu ważne. Podkreśla istotę przyjaźni, a chcąc ukazać negatywny wpływ pieniądza, razem z kolegami wystawia spektakl o tym, jak potrafią zmienić każdego z nas.

Przedstawienie jest pełne kolorów, tańca i cudownych piosenek. Każdy może w nim znaleźć coś dla siebie. Nie brak humoru, jak i poważnych prze-

myśleń, a cały spektakl zdecydowanie opiera się na romantycznej historii. Cudowne iluminacje świetlne i laserowe wzbogacają musical o mnóstwo kolorów i wrażeń. Musical ten uczy nas wielu rzeczy, a przede wszystkim tego, by podążać za swoimi marzeniami i nie kierować się w życiu tylko żądzą pieniądza i rzeczy materialnych

Gdy spektakl dobiega końca, rozlegają się gromkie brawa i wiwaty, co bez wątpienia świadczy o wielkim sukcesie tego niesamowitego musicalu.

*„Świat się zmienia, padają mury, otwierają się granice. Teatr też się zmienia. Niezmiennie pozostają tylko marzenia... marzenia młodych ludzi, nasze marzenia.”*

**Autor: Eliza Kozłowska**

„Metro” to musical przedstawiający życie młodych, utalentowanych artystów. Akcja rozgrywa się na stacji metra. Anka, która ucieka z domu, właśnie tutaj spotyka Janka, dawniej artystę, teraz grającego w podziemiach. Wraz z innymi idzie na przesłuchanie do znanego reżysera, który – rozczarowany próbą – nie angażuje ich do swojego projektu. Zbierają się więc w metrze, gdzie razem grają

i śpiewają, szkoląc umiejętności dzięki wyczuciu i intuicji Janka. Są najlepszym przykładem na to, jak wygląda prawdziwa przyjaźń, robią coś razem – albo nie robią wcale. Młodzi ludzie nie dostali się do musicalu znanego reżysera, ale pokazali, jak silna może być przyjaźń i kontynuowali swoje występy w podziemnych korytarzach metra – znakiem ich bliskości jest piosenka „Wieża Babel”.

Janek pewnego razu mówi Ance, że ten słynny reżyser to jego brat, który jednak wybrał komercję zamiast prawdziwej sztuki. Pewnego razu zdesperowany reżyser odwiedza swojego brata na stacji metra i próbuje go przekonać, żeby zagrał w jego musicalu, ten jednak nie zgadza się i znów rozstają się w milczeniu. Reżyser jednak składa propozycję pozostałym bohaterom – zaprasza ich po raz wtóry na przesłuchanie, tym razem dostrzegając w nich rzeczywisty talent. Jaką decyzję podejmą? – to już trzeba zoba-

czyć samemu.

Musical niezwykle wzruszający, pokazujący siłę przyjaźni. Dzięki temu widownia może utożsamiać się z bohaterami, można odpowiedzieć sobie na wiele pytań stawianych w codziennym życiu, chociażby: czy przyjaźń wygra?, co jest ważniejsze: miłość czy kariera? Musical w barwny sposób, ze wspaniałą obsadą pozwala szukać odpowiedzi na te pytania, które dotyczą nie tylko młodych ludzi. Myślę, że warto obejrzeć ten spektakl i utożsamiać swoje życie z życiem bohaterów. Na pewno nie będzie to stracony czas.

**Autor: Klaudia Sarzalska**

Musical pod tytułem „Metro” reżyserii Janusza Józefowicza grany jest w teatrze Buffo od 1997 roku i wciąż cieszy się ogromną popularnością. Jednak oglądają go nie tylko osoby dorosłe. Organizowanych jest wiele wycieczek

szkolnych, by młodzież mogła obejrzeć dumę tego teatru. Niedawno byłam na jednej z nich.

Już na samym początku nad sceną wyświetlony został napis „Metro”, co zrobiło na widzach ogromne wrażenie. Później zabrzmiała pierwsza piosenka. Piosenek było tam wiele. Niektóre wzruszające, inne o charakterze bardziej rozrywkowym. Zaśpiewane i zagrane zostały idealnie, co świadczy o talencie wokalnym osób występujących. Jeśli chodzi o aktorów, nie sposób ich wszystkich wymienić. Scena była prawie całkiem zaludniona, a mimo to nie było nieładu ani chaosu w choreografii. Wszystko idealnie dopracowane. Oświetlenie i efekty specjalne były zaskakujące i bardzo specyficzne. Pierwszy raz widziałam coś takiego w teatrze.

Miejszem akcji jest dworzec metra. Trafia tam pewna dziewczyna – Anka, która ucieka z domu, by zrealizować swoje marzenie, marzenie o wielkiej sławie. Chodzi na castingi, których nie udaje się jej wygrać i w końcu przestaje wierzyć, że kiedykolwiek spełni swoje marzenia. Uważa, że jest całkiem sama, jednak poznaje wielu ciekawych ludzi: zdolnych, utalentowanych, pełnych zapału oraz pewnego mężczyznę o imieniu Jan. To brat dyrektora teatru, który prowadzi castingi, te castingi, których Ance nie udaje się wygrać. Mógł mieć bogactwo i sławę, a wybiera życie w metrze i granie pasażerem. Ta nie-





zależność przykuwa uwagę Anki, i wkrótce się w nim zakochuje. Miłość ta jest odwzajemniona, jednak Jan nie potrafi się do tego przyznać, wciąż wmawia sobie, że chce być sam, że niepotrzebne mu dodatkowe emocje. Jak zakończyła się ich historia? Jak potoczyły się losy nowych przyjaciół Anki? Tego już Wam nie mogę zdradzić.

Moja opinia o „Metrze” jest jak najbardziej pozytywna. Przez długi czas pytałam się znajomych, członków rodziny, co o nim sądzą. Otóż każde z nich miało takie same zdanie. Takie, jakie teraz mam ja. A jak odebrałam przesłanie musicalu? Według mnie jest to opowieść o tym, że warto mieć marzenia i warto kochać, bo to pozwoli nam uciec od szarej rzeczywistości, pustej, monotonnej codzienności. Najważniejsze to dążyć do zdobycia celu i nie poddawać się, a kto wie, czy po drodze nie spotka nas coś jeszcze lepszego?

**Autor: Anna Sienkiewicz**

Spektakl „Metro” wystawiany w teatrze Buffo posiada dwie różne twarze. Jedna przedstawia opowieść o spełnianiu swoich marzeń, miłości, młodzięcych ideałach i pasji, którą chce zaspokoić młodzież. Druga opowiada o rozczarowaniach, świecie nastawionym na zdobywanie pieniędzy, zdradzie, spychaniu ważnych wartości w życiu z podium, zastępowaniem je pieniędzmi i sławą.

Opowieść zaczyna się od castingu do musicalu w jednym z teatrów, jednak większość bohaterów, którzy przyjechali tu, by wyrwać się z codziennej monotonii i spełnić swoje głęboko skrywane marzenia, okazuje się – według reżysera – zbyt słaba do występów w teatrze. Dlatego schodzą do stacji metra, gdzie mogą zrealizować swoje pragnienia, gdyż mają możliwość wystawienia spektaklu dla pasażerów korzystających z metra. Twórcą przedstawienia jest Jan, mieszkający w metrze. Przedstawienie zaczyna budzić zainteresowanie, dlatego młodzi tancerze i wokaliści dostają propozycję pracy w jednym z komercyjnych teatrów. Wtedy bohaterowie muszą wybrać – metro czy sława? Czego tak naprawdę oczekują od życia? Czy komercja i pieniądze pokonają miłość do drugiej osoby? W sztuce pojawia się wątek miłosny, uczucie rozkwita pomiędzy Anką (w przedstawieniu, które oglądałam, była to Zofia Nowakowska) i Jankiem (Rafał Drozd).

Sztuka jest dobrze przedstawioną historią o marzeniach dzisiejszej młodzieży. O tym, że nigdy nie wolno mówić nigdy i nie można się poddawać. O tym, że trzeba walczyć o swoje pragnienia, starać się pojąć sens życia.

Reżyserem i choreografem przedstawienia jest Janusz Józefowicz, patronat nad muzyką objął Janusz Stokłosa, scenografię wykonał Janusz Sosnowski, a kostiumy zaprojektowały Magdalena Maciejew-

ska i Ewa Krauze.

## Bez pożegnania

Przypomnijcie sobie, kiedy ostatnim razem czytaliście książkę do godziny czwartej nad ranem, bo zostało Wam już tylko kilka rozdziałów, żeby doczytać do końca i wreszcie poznać prawdę. Szczerze mówiąc, nie byłem nigdy wielkim fanem kryminalów i książek o tematyce sensacyjnej. A może po prostu nigdy do nich nie zajrzałem i nie byłem świadom, jak bardzo są wciągające. Wróćmy jednak do samej powieści. Dokończywszy aktualnie czytana książkę, rozjrzałem się po swojej półce i z niezadowoleniem stwierdziłem, że wszystkie pozycje zostały już przeczytane, niektóre nawet kilkukrotnie. Jako że był to czas świąteczny, nie mogłem liczyć na otwartą bibliotekę, więc rozpocząłem poszukiwania ciekawej lektury w domu. Naprowadzony przez siostrę,

sięgnąłem po książkę „Bez pożegnania” autorstwa Harlana Cobena. I tak to się zaczęło.

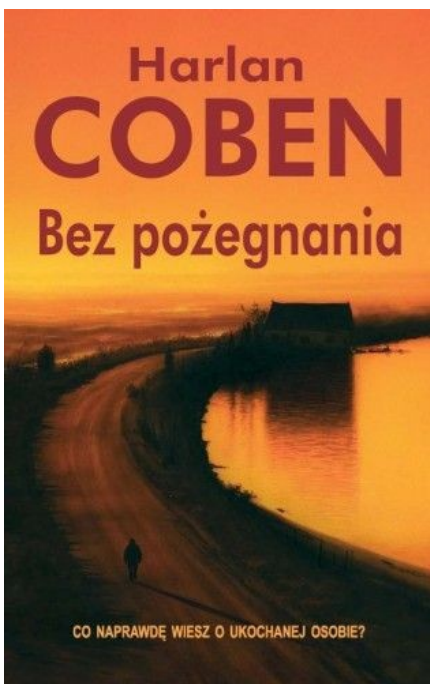
Akcja toczy się w Ameryce na przedmieściach miasta Newark. Jedenaście lat wcześniej w piwnicy własnego domu została zgwałcona i zamordowana młoda studentka, była dziewczyna naszego głównego bohatera – Willa Kleina. O zabójstwo został oskarżony brat Willa, Ken. Nie zostaje on jednak ukarany, gdyż ucieka i pomimo starań zarówno policji, jak i FBI nikt nie może go znaleźć. Jedni twierdzili, że ktoś mu pomaga się ukrywać, inni byli zdania, że Ken Klein po prostu już dawno nie żyje. Tak też myślała cała rodzina zbiega aż do czasu... Tuż przed śmiercią matka Willa wyznaje synowi, że jego brat żyje. Ta wiadomość burzy spokój bohatera. Wkrótce potem znika Sheila, kobieta, którą planował poślubić. Coraz więcej poszlak świadczy o tym, że nie była tym, za kogo się podawała, przez co staje się główną podejrzaną policji. Jaki związek z serią zabójstw ma ukochana Willa? Co łączy ją ze sprawą sprzed jedenastu lat?

Niesamowity styl, w jakim Harlan Coben utrzymuje swoją powieść i pierwszoosobowa narracja sprawiają, że czujemy się czynnymi uczestnikami wydarzeń. Doskonale zbudowana intryga, mnogość postaci ujawniających

coraz to nowe elementy układanki i zaskakujące zakończenie, którego nie domyśliłby się najbardziej przebiegły czytelnik sprawiają, że książkę czyta się z zapartym tchem i wyczekiwaniem. Zakończenie ujawniane na dosłownie ostatnich stronach powieści powoduje, że nigdy do końca nie możemy być pewni, jaka jest prawda.

Po zakończeniu pierwszej książki niezwłocznie sięgnąłem po kolejne pozycje tegoż autora i zdecydowanie się nie zawiodłem. Czytam już trzecią powieść jego autorstwa i stwierdzam, że jest to coś, na co warto poświęcić swój czas. Zatem, czytelnicy, do dzieła! Życzę wstrząsających wrażeń...

*Paweł Bałdyga*



## Kobieta na Marsie, mężczyzna z Wenus

Kobieta na Marsie, mężczyzna z Wenus” – to francuska komedia z Sophie Marceau i Dannym Boonem w rolach głównych, w reżyserii Pascale Pouzadoux, wprowadzająca nas w świat kontrastów i różnic pomiędzy mężczyzną a kobietą.

Film porusza dzisiejszy problem związany z podziałem ról w społeczeństwie i życiu opartym na stereotypach. Adrienne, zajmująca się domem, dziećmi i codziennymi obowiązkami, znudzona swoim życiem, wpada na pomysł, by zamienić się rolami ze swoim mężem, Hugo, który całkowicie poświęca się swojej pracy. Jest też znakomitym biznesmenem. On początkowo nie zgadza się na tak zwariowany układ, lecz po namyśle postanawia iść na ugodę. W relacjach i wypełnianiu nowych obowiązków pomaga im wynajęty arbiter. Nie od razu jednak udaje im się odnaleźć w nowej roli. Adrienne na początku załamuje się, ale po okresie próbnym wpada na świetny pomysł, który odnosi wielki sukces. Hugo także doskonale wciela się w rolę kobiety. Jednak po pewnym czasie małżeństwo chyli się ku upadkowi. Adrienne ma romans z mężczyzną z pracy, a Hugo spotyka się z najlepszą przyjaciółką swojej żony. Zupełnie różne światy, w których żyją bohaterowie, sprawiają, że

ich życie nabiera innych barw. Akcja w filmie nie toczy się zbyt szybko, a fabuła nie jest wystarczająco rozbudowana, jednak są to cechy charakterystyczne dla tego gatunku filmu

Oryginalne połączenie światów różnych płci sprawia, że jest to nie tylko komedia romantyczna, lecz również ciekawy pomysł na rozwiązywanie problemów w małżeństwie, poznanie życia swojego partnera, a tym samym pozyskanie wzajemnego do siebie szacunku. Nowe doświadczenia życiowe sprawiły, że bohaterowie spojrzeli na swoje role z innego punktu widzenia. Uważam, że film „Kobieta na Marsie, mężczyzna z Wenus” warty jest naszego zainteresowania i obejrzenia.

*Olivia Bodek*





## Gwiezdny Pył

Obecnie widz, gdy idzie do kina, nie ma specjalnego pola wyboru odnośnie filmu, który chciałby obejrzeć. Przytłaczająca większość to obrazy z gatunku: akcja, dramat, komedia. Byłoby naprawdę przecudownie, gdyby chociaż połowa z proponowanych „dzieł” nie była jawnym marnowaniem, obecnie bardzo cennego, czasu. Niestety trzeba te płonne życzenia włożyć między bajki i inne kwestie, które nigdy nie zostaną spełnione.

Poruszyłem ten temat, ponieważ w święta miałem okazję, po raz drugi, obejrzeć „Gwiezdny pył” w reżyserii Matthew Vaughna. I po raz drugi nie żałuję, bo moim zdaniem jest to film świetny, niosący niesamowicie pozytywną – i współcześnie potrzebną – energię. Film oparty jest na powieści Neila Gaimana o tym samym tytule i z założenia miał pełnić formę baśni XXI wieku.

Akcja utworu rozgrywa się w jednym z małych miasteczek XIX-wiecznej Anglii. Młody Dunstan Thorn próbuje przedrzeć się do krainy niedostępnej dla typowego śmiertelnika, której granice wytycza stojący od niepamiętnych czasów mur – broniony przez sędziwego, ale bardzo sprawnego strażnika. Jednak pewnego razu udaje mu się przechytrzyć starca, po czym dociera do wymarzonej krainy. Tam poznaje Unę, księżniczkę więzioną przez złą (bo takiego określenia używa się w baśniach – nie np. wredną czy gderliwą) czarownicę. Jak można się domyślać, od razu zakochują się w sobie, lecz Dunstan po pewnym czasie musi wracać. W zasadzie historia mogłaby się tak zakończyć, jednak po dziewięciu miesiącach strażnik puka do drzwi młodego Thorna wręczając mu dziecko. Od tego momentu zarówno Dunstan, jak i Tristan (właściwie Tristran) są nieroz-

łącznie związani z krainą zza muru.

Jednak to nie Dunstan jest głównym bohaterem „Gwiezdnego pyłu”. Otóż to jego syn, Tristan, książę owej krainy – o czym dowiaduje się dopiero na samym końcu opowieści – pełni w filmie kluczową rolę. Początkowo zakochany jest w niejkiej Victorii, powierzchownej dziewczynie zwracającej uwagę jedynie na aspekt materialny potencjalnego adoratora. Dlatego też Tristan, ślepo w dziewczynie zakochany i doatkowo rywalizujący z Humphrey’em – stojącym znacznie wyżej w społecznej hierarchii – podejmuje się zadania przyniesienia dziewczynie gwiazdy, która dopiero spadła z firmamentu.

Tristan, po wielu kłopotach i próbach, uświadomiony przez ojca o swoich nie w pełni lokalnych korzeniach, przedstawia się do krainy magii. Umożliwia mu to babilońska świeca – prastary artefakt – która przeniesie wybrańca w miejsce, o którym pomyśli. I tak też uczyniła, przenosząc Tristana wprost na świeżo „spadniętą” gwiazdę. I w ten sposób losy tych dwojga ludzi splotły się na zawsze.

W tle ma miejsce rywalizacja o gwiazdę – Tristan chce ją przynieść Victorii jako dowód miłości, księżęta (których siostrą jest matka Tristana) szu-



## Recenzje

kają naszyjnika znajdującego się na szyi Yvaine – wspomnianej gwiazdy, natomiast widzimy chęć wyciąć dziewczynie serce, by na kolejne kilkaset lat odzyskać młodość.

W zasadzie najważniejszym, i typowo baśniowym, motywem „Gwiezdnego pyłu” jest ewoluowanie znajomości głównych bohaterów, się od niechęci do szczerzej miłości. Jak wspomniałem, obraz przesycony jest pozytywną energią. Poza tym świetni aktorzy – Ro-

bert de Niro, Michelle Pfeiffer czy chociażby Peter O’Toole dopełniają artystyczną formę filmu. Ich, naprawdę błyskotliwa, niesztampowa i pełna poczucia humoru, gra sprawia wręcz widzowi przyjemność z samej możliwości oglądania. Genialna muzyka stworzona przez Ilana Eshkeri’ego współtworzy baśniowy nastrój. Co ciekawe film jest produkcją brytyjsko-amerykańską i bardzo dobrze, ponieważ – to moje skromne zdanie – brytyjski akcent, jedyny w swoim rodza-

ju, też wnosi coś innego do obrazu. Coś bardziej uroczystego, a nie tak, może nie do końca, ale jednak, zwulgaryzowanego jak wersja amerykańska.

Krótko mówiąc, film naprawdę godny polecenia. Bajeczne pejzaże, świetna muzyka i niebanalna gra aktorów powodują, że całość naprawdę zasługuje na pochwałę.

Adam Magnuszewski

## Marzyciel

„Marzyciel” jest filmem, który poruszył wielu ludzi swoją fabułą, muzyką i grą aktorską. Myślę, że wielu z Was zachwyciło się nim, być może wiele razy, jednak zapewne są też tacy, którzy nie wkroczyli jeszcze w świat magii i fantazji. Film został zrealizowany na podstawie znanej sztuki Allana Knee, opowiadającej o wiecznym chłopcu, którego nazywano Piotrusiem Panem.

Jest to historia sławnego, szkockiego pisarza Jamesa Barrie’go (Johnny Depp), który pragnie stworzyć sztukę wartą zapamiętania. Pewnego dnia, w parku spotyka rodzinę Davies. Piękna Sylvia (Kate Winslet) – wdowa i matka wspaniałej grupki czterech chłopców, którzy również go urzekli oraz ich pies, stają się

inspiracją dla pisarza. Barrie uczy jedno z dzieci wiary w świat fantazji, zaprzyjaźnia się z ich matką i zostaje członkiem rodziny. Dzięki nim tworzy nadzwyczajną baśń o Nibylandii, niestety kosztem życia prywatnego.

Ta pełna fantazji i piękna opowieść skierowana jest nie tylko do najmłodszych, ale również do dorosłych widzów. Została wyreżyserowana w 2004 r. przez Marca Forstera, scenariuszem natomiast zajął się David Magee. Kompozytorem wspaniałej, nastrojowej muzyki jest Polak – Jan Kaczmarek, dzięki któremu film zyskał Oscara za najlepszą oryginalną muzykę. Wspaniali aktorzy – podczas trwania seansu – pomagają oderwać się od rzeczywistości i przenieść w świat fantazji i baśni.



Polecam gorąco film tym, którzy lubią czasem zrelaksować się w wyimaginowanym świecie oraz fanom Johnnego Deppa, których absolutnie nie zawiódł.

Agata Piórkowska

## „August Rush” - „Cudowne dziecko”

„August Rush” to wzruszająca opowieść o niezwykle uzdolnionym muzycznie, dziesięcioletnim chłopcu mieszkającym w sierocińcu, Evanie Taylorze (Freddie Highmore). Film został wyreżyserowany w 2007 roku przez Kirsten Sheridan, twórcami scenariusza są James V. Hart i Nick Castle. Jest to dramat o charakterze muzycznym, który poruszy nawet najtwardsze serca widzów.

Przelotny romans dwojga muzyków - słynnej wiolonczelistki, Lyly Nowaczek (Keri Russell) oraz znanego muzyka kapeli rockowej, Louisa Connelly' a (Jonathan Rhys Meyers), daje początek życiu chłopcu o imieniu Evan. Związek uniemożliwia ojciec Lyly, Thomas (William Sadler), który pragnie światowej kariery córki, bojąc się o jej dalszy los, umieszcza nowo narodzone dziecko w sierocińcu. Lyly wmawia natomiast, że niemowlę zmarło w trakcie porodu. Młoda artystka popada w stan załamania, poprzez „śmierć” dziecka traci jedyną więź z ukochanym. Zarówno Lyly, jak i Louis porzucają to, co najbardziej kochali - muzykę, tracąc tym samym szansę na szczęśliwe życie.

Ich dziecko dorasta w sierocińcu, a najważniejszą rzeczą w jego życiu jest muzyka, wszędzie ją słyszy, wierzy, że za jej sprawą odnajdzie utra-

conych rodziców. Nieustannie podąża za dobiegającymi do jego duszy i serca dźwiękami, żyje całkowicie pogrążony w ich świecie. Po upływie dziesięciu lat, Lyly dowiaduje się, że jej syn żyje. Postanawia go odnaleźć, co w gruncie rzeczy nie jest łatwe, ponieważ chłopiec kilka dni wcześniej ucieka z ośrodka. Evan trafia do Nowego Jorku, gdzie spotyka grupę dzieci, zarabiającą na swoje życie muzyką. Ich opiekunem jest mężczyzna o pseudonimie Czarodziej (Robin Williams). To on dostrzega w Evanie ogromny potencjał i talent. Wie, że to dziecko doprowadzi go do upragnionej sławy i bogactwa. Wykorzystuje nieukształtowaną jeszcze psychikę młodego chłopca, wróży mu ogromną karierę. Strach przed utratą młodego geniusza muzyki sprawia, że zmienia jego dotychczasowe nazwisko na nowe, nazywa go Augustem Rushem. Zmiana danych personalnych chłopca utrudnia poszukiwania matki. Zbieg szczęśliwych przypadków doprowadza młodego artystę na estradę, gdzie występuje również Lyly Nowaczek, jego matka. Zgodnie z ich marzeniami muzyka łączy całą rodzinę.

Dzieło Kristen Sheridan okazało się ogromnym sukcesem, na który złożyło się wiele czynników, m.in. trafna obsada aktorów, ich gra, a przede wszystkim znakomite zaplecze

muzyczne. Film znalazł uznanie wśród widzów, scenariusz potrafi doprowadzić do łez prawie każdego, niezależnie od jego wieku. Kluczową rolę odegrała tu muzyka, połączyła rozdzieloną niegdyś rodzinę. Dramat nie tylko wzrusza, bawi, ale i uczy. Myślę, że wielu z nas mogłoby brać przykład z młodego bohatera, który pomimo przeciwności losu, trudnego startu życiowego, nie poddaje się, ale za wszelką cenę dąży do odnalezienia swoich ukochanych rodziców.

Mam nadzieję, że moje odczucia podzielają osoby, które film ten obejrzały, jeśli ktoś jeszcze go nie widział, ogromnie polecam, jest to dzieło godne uwagi.

Joanna Matusiewicz





## Skazani na Shawshank

Są takie filmy, które trzeba obejrzeć. Wyróżniają się spośród tysięcy, jakie powstały od dnia, gdy bracia Lumiere skonstruowali kinematograf. Składa się na nie kilka, no może kilkanaście pozycji, które każdy powinien znać, aby mieć porównanie, które z obecnych produkcji są dobre, a które niekoniecznie. Film „Skazani na Shawshank” w reżyserii Francka Darabonta bez wątpienia należy do kinowego topu wszechczasów. Ma wszystko – od wciągającej fabuły (opartej na opowiadaniu Stephena Kinga) po znakomitą grę aktorską (został nominowany do Oscara w 7 kategoriach). W filmie tym jest coś specyficznego, ponieważ ludzie identyfikują się z opowiedzianą w nim historią, mimo iż akcja toczy się w więzieniu, w którym wielu z nas nigdy nie było i mam nadzieję nigdy nie będzie. Jednak rozumiemy problemy i rozterki więźniów Shawshank. Być

może dlatego, że w osobie głównego bohatera widzimy człowieka, który ceni wolność, prawdę i sprawiedliwość – wartości ważne dla każdego z nas.

Andy Dufresne (Tim Robbins), bankowiec z Nowej Anglii zabija swoją żonę i jej kochankę. Proces jest szybki, ponieważ okoliczności jednoznacznie wskazują, że to właśnie on dokonał morderstwa (w rzeczywistości jest niewinny). Trafia do więzienia, w którym porządku pilnują sadystyczni strażnicy, a naczelnik Norton kieruje się tylko chęcią zysku. Andy stopniowo przystosowuje się do życia w Shawshank: poznaje zasady tam panujące, zdobywa przyjaciół, zyskuje nawet względną sympatię strażników. Znosi wszystko, co przyniesie mu los. Godzi się z nim, ale nie daje się złamać. Zachowuje się tak jakby *niewidzialny płaszcz* chronił go przed tym miejscem.

Tym płaszczem jest nadzieja: *Potrzebujesz jej, by nie zapomnieć, że są miejsca na świecie niezbudowane z kamienia, że jest coś, czego nie mogą dostać, czego nie mogą dotknąć. Nadzieja to dobra rzecz, może najlepsza ze wszystkich, a takie nie umiera.* Nadzieja obroniła go przed zinstytucjonalizowaniem, którego przykładem jest stary Brooks. Po pięćdziesięciu latach w więzieniu nie potrafił odnaleźć się w normalnym świecie. Shawshank było całym jego życiem. Tam był kimś z wykształceniem. Na wolności był nikim. Ludzie postrzegali go tylko jako *ekskskazańca z artretyzmem w obu rękach*. Andy nie poddaje się rutynie, nie pozwala też na to współ więźniom. Poprzez wynegocjowanie piwa czy puszczenie Mozarta przez radio daje im namiastkę wolności, przekazuje swoją nadzieję.

Film jest opowieścią o pięknej przyjaźni Dufresne'a i niejakiego Reda (Morgan Freeman), który uchodzi za człowieka zdolnego przesmuglować do placówki resocjalizacyjnej – niemalże wszystko. Placówka pomaga każdemu z nich w walce z depresją i monotonią życia za kratami. Jak się okazuje, ratuje też jednemu życie.

Gra aktorska Tima Robbinsa i Morgana Freemana sprawia, że czujemy to samo, co bohaterowie. Aktorzy potrafili



## Recenzje

stworzyć więź pomiędzy granymi postaciami a widzami. Nie znam się na aktorstwie, ale odczucia związane z grą obu panów są bardzo pozytywne. Na uwagę zasługuje również niezwykle nastrojowa, współgrająca z obrazem muzyka skomponowana przez Dorisa

Fishera i Thomasa Newmana.

„Skazani na Shawshank” to film należący do czołówki światowych produkcji. Niektóre sceny stały się kultowymi. Trochę szkoda, że mimo 7 nominacji do Oscara nie otrzymał żadnej z nagród. Mogę jednak

zagwarantować, że te 2 godziny i 20 minut, które trzeba poświęcić, aby obejrzeć film, nie będą czasem straconym.

*Bartosz Charzyński*

## Zły

Przed wyjazdem do teatru, aby zorientowaną i znającą się na rzeczy choć w niewielkim stopniu udawać, czytam recenzję przedstawienia. Tytuł: „ZŁY”. Powiem szczerze, że zła też trochę jestem, ponieważ recenzja miała być podobno o spektaklu, a tam tylko Tyrmand i Tyrmand, od czasu do czasu Tyrmandem przepleciony.

Docieram jednak do sedna po poszukiwaniach w gruncie rzeczy nie tak długich, odkrywam to i owo: że „Zły” to kryminalna opowieść wydana po raz pierwszy w 1955 r. Akcja toczy się w Warszawie na początku lat 50. XX w. i przedstawia świat organizacji przestępczych, a także dawne miejskie życie. Tytułowy Zły to bohater, początkowo samotnie walczący z kryminalnym półświatkiem stolicy, który próbuje rozwiązać zagadkę „przekrętu”, dla którego okazją ma stać się pewien mecz. Jak wiadomo, dobry spektakl i w miłość wyposażony być musi – mamy więc mi-

łość Marty i Witolda.

Dokształcona, wsiadam do autobusu i jadę. Jadę, jadę, a właściwie jedziemy, jedziemy, no, dojechaliśmy. I nagle ZŁY znak – brakuje biletu. Popłoch, panika – na kogo padnie, na tego być – nie wejdziesz, nie dostaniesz swojej szansy na zostanie Tap Madl. Udaje się, na salę wchodzimy w komplecie.

Już na wejściu wita nas jazz. Myślę sobie: będzie się działo, oj, będzie. Tymczasem już po pierwszej części czuję się spektaklem lekko zmęczona, z wrażeniem, że ktoś miał na niego całkiem niezły pomysł, całkiem sporo niezłych pomysłów, powiedziałabym nawet, ale nie mógł się zdecydować na żaden. Biedak zdecydował się więc połączyć je wszystkie ze sobą licząc na to, że nieźle plus iks razy nieźle będzie równać się wspaniale.

Niekoniecznie. Atmosfera na scenie początkowo rzeczywiście oddaje klimat warszawskich spelun tamtych dni.

Piosenki jako przerywnik również ciekawia. Jednak po pewnym czasie człowiek zaczyna się gubić. Już nie wiadomo, co tak naprawdę masz zobaczyć, co zrozumieć, czego się domyślić a czego nie wypada wiedzieć. Dla kogoś zupełnie niewtajemniczonego w fabułę utworu Tyrmanda może się to okazać orzechem do zgryzienia nie lada. Szczególnie, jeśli Ktoś dysponuje umysłem przeciętnym, bo to czwartkowy wieczór przecież.

Powoli jednak brniemy w akcję. Przekręt straszliwy, wyprodukowali tyle i tyle fałszywych biletów. Wjeżdżają panie z papilotami na głowie na obrotowych krzesłach. Kochanka jednego z głównych beneficjentów oszustwa stara się namówić prawie-kochanka Marty, w której zakochał się tytułowy Zły, żeby został jej kochankiem. Dziwni ludzie zaczynają chodzić w kółko obrotowej sceny. Zastanawiam się, czy mam różne oczy, czy akcja rzeczywiście stała się tak

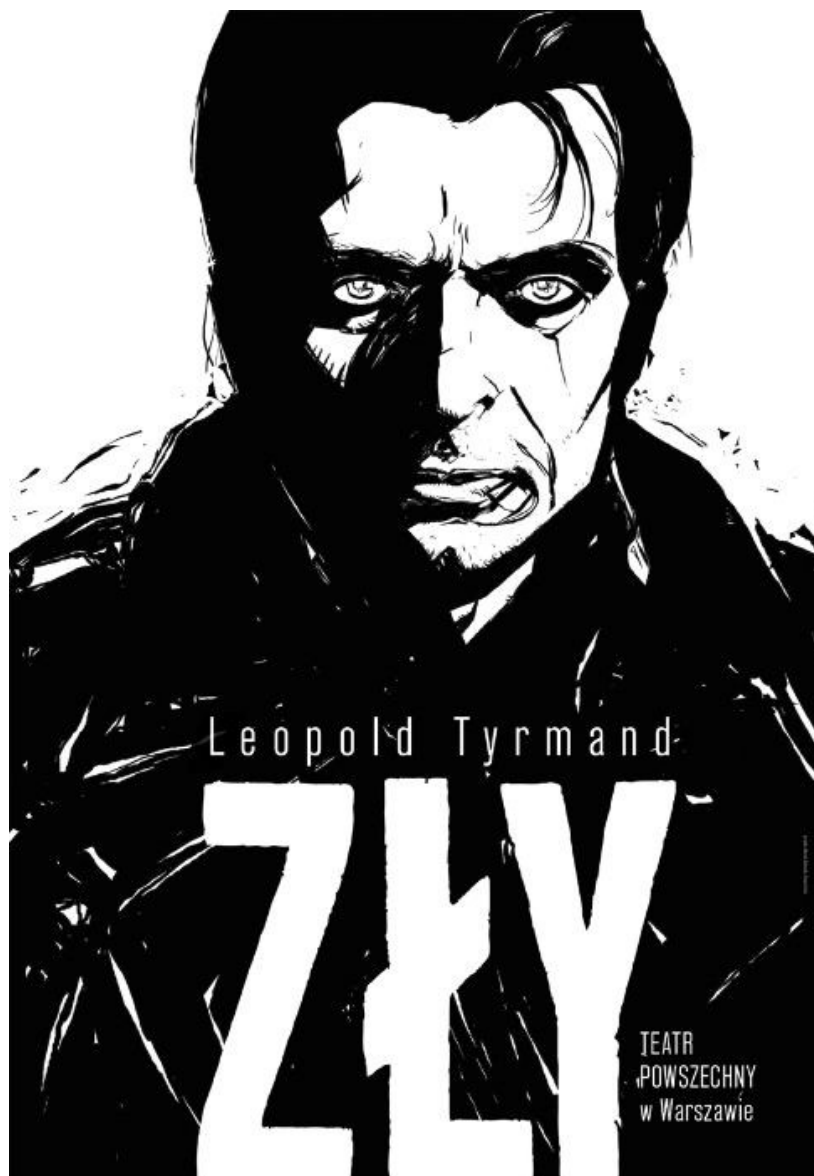
chaotyczna, że ciężko coś z niej wywnioskować. Po cichu myślę (tak, żeby jakiś ewentualny telepata nie usłyszał), kiedy koniec no kiedy koniec.

Żeby jednak nie być całkowicie na NIE: mam ogromny szacunek dla kobiety wcielającej się w rolę sekretarki Merynosa. Mimika pani jest – przyznaję bez bicia – powalająca. Pomyśl wyświetlania komiksowych scen dla podkreślenia *superbohaterysty* głównego bohatera również bardzo sobie niczego.

Reasumując: spektakl miał ogromną szansę na pozytywną ocenę, gdyby nie ambicja pana reżysera, który zamiast skupić się na jednym pomysle i akcji utworu, odtworzył to bardzo niekonsekwentnie, z licznymi niedociągnięciami i jeszcze liczniejszymi „efektami specjalnymi”, które pozostawiają fabułę gdzieś na szarym końcu listy priorytetów spektaklu. Czasami zastanawiałam się nawet, czy sami aktorzy rozumieją główne przesłanie.

Ale, oczywiście, dopuszczam również opcję, że to ja się wystarczająco należycie skupić nie potrafię i to mnie uciekł sens. W przypiływie obiektywizmu – to bardzo możliwe.

*Monika Lutomirska*





## 10 sekund

\*\*\*

zostało mi dziesięć  
sekund życia

Coś niewiele.  
Spróbuję się streszczać:

żałuję jednego  
albo wszystkiego  
mogłem więcej  
w sumie mogłem mniej  
na pewno przepraszam  
ale nie jest mi żal

\*\*\*

najlepiej spędzone  
dziesięć sekund życia  
mogłabyś częściej  
mówić, że to koniec  
częściej wychodzić z pokoju  
z ogniem na twarzy.

*Szymon Zwierew*

## Krzyk

Nie można już nic powiedzieć  
nie można niczego zmienić  
między nami  
między wszystkimi  
został tylko krzyk  
krwawiące gardło i pięść  
uderzająca w mur  
spalanie się  
co innego możemy zrobić?  
co powinniśmy zrobić?

krwawiące gardło i pięść  
uderzająca w mur  
wrzask, pytanie i odpowiedź,  
jak wszystko inne pomylił funkcję

krwawiącym gardłem i pięścią  
trzeba nieść miłość bliźniego  
jako miłość Siebie

słowo słyszą tłumy  
krzyk słyszą wybrani  
ludzi niemych, ludzi głuchych  
usuniemy

krwawiące gardło i pięść  
uderzająca w mur  
będą Wszystkim.

*Szymon Zwierew*

## Ego Id Superego

Czy wiesz co się z nim stało?

- Tak, spłonął od zapalki.

Zostawił po sobie muzyka, pijaka,  
nawet kilku narwanych poetów.

Nic z tego nie rozumuje po ludzku.

Nawet zachować się nie potrafi.

- To znaczy?

- Dziczeją. Zamykają się jak ten zwierz  
uciekający w ką.

Nie potrafi to spojrzeć na świat,  
bo musieliby wyjrzeć za róg.

Robią tylko to co wypada robić,

By nie wypaść z roli psa łańcuchowego.

- Wstyd, że zajęli jego miejsce.

No ale tak to już jest

Kiedy obróci się twarz do wnętrza Siebie.

- Ta. Instynkt przetrwania i te sprawy.

- Chyba instynkt drapieżnika. Tyle, że chorego.

- Szkoda gadać.

Requiescat in Pacem.

- Amen.

- Amen.

*Szymon Zwierew*



## **Wielka Improwizacja. Wersja poprawiona**

Na cóż mi księgi, na cóż mi  
pióra,

Na cóż mi mądrość zdobyta  
przez stulecia,

Na cóż sięgnięcie wiktorii  
kwiecica,

Tym gardzi ma natura.

Ja się na skrzydłach swej wiel-  
kości wznoszę

I o nic ni Boga, ni ludzi nie  
proszę,

Nieustannie słyszę ogłuszające  
trzaski,

Ach, nic dziwnego, że to okla-  
ski.

Cały świat dostrzegł ten cień,  
który rzuca

I moja światłość i geniusz  
miażdżący

I teraz wszyscy u mych stóp  
leżący...

Widzę Szekspira, van Gogha,  
Kutza.

Nie myślę, że słowa moje są  
zbyt dumne,

Za pychę ich także nie wezmę,

Skromność należy kłaść w  
trumnę,

JA również nim skruszę się,  
szczepnę.

Łamią się tylko mali,

A uczą się tylko głupi,

Więc niechaj ta małość się scali

I razem z głupotą się skupi.

Ja dam wam radę na życie

Takie, jakie ja prowadzę.

Zapomnijcie o książce, zeszy-  
cie,

Nimi się dobrze tylko w piecu  
pali, w zasadzie.

Zamiast pchać do głowy mora-  
ły,

Pytania, odpowiedzi, ideały,

Kwantyfikatory, teorie kwanto-  
we,

Geometrię analityczną i powło-  
ki elektronowe,

Pierwiastki, logarytmy, mito-  
chondria i dendryty

Marikulturę, poldery, mutony,  
meteoryty.

Metonimię, eufonię, anafory,

Asyndetony, anakoluty i inne  
potwory,

Trzeba się zająć przyjemniejszą  
pracą,

W końcu samouwielbienie to  
też nie „ladaco”.

*Alicja Olejniczak*

## Monolog Hamleta. Wersja poprawiona

Jestem czy nie jestem?  
to trudne pytanie  
mówię, patrzę, czuję... -  
tu żyję, a tłum spogląda  
chce wziąć pod skrzydła  
odmowa - pogarda  
zgoda - uległość  
nic nie znaczę.  
Kto przyjacielem a kto wilkiem?  
Jestem - Boże słowo, lecz jak daleko od Boga,  
a przecież może być dalej.  
Czuję presję, patrzą, rozrywają  
zjadają od środka.  
Muszę zostać sobą, by być  
Inna możliwość pozostawia mi cześć mnie.  
Kiedy zło przeraża jeszcze...  
Kiedy zło widzę złem  
Nie chcę stracić siebie, ale usprawiedliwiam to  
Co czarne - wybielam  
żeby uciec - cierpieć i dać cierpienie.  
Nie mogę być zjedzona, nie mogę!  
A tłum nie zapomina, nie można zawrócić  
iść prosto i spotkać innego  
Tłumu lepsze obyczaje  
żeby mówić, patrzeć, czuć - prawdę.

*Patrycja Boruta*

## Płaszcz i okulary. Cd.

### Rozdział III

Gdy otworzył oczy, widział niewyraźnie biały sufit. Z lewej strony dało się słyszeć ciągle pikanie aparatury medycznej. Leżał, próbując przypomnieć sobie, co się działo. Nagle pikanie przyspieszyło, a Vinc poczuł ból w klatce. Podbiegły do niego dwie osoby ubrane w białe fartuchy. Jedna z nich krzyknęła: *Podaj środki uspokajające!* Obraz znów stał się czarny a Vinc zasnął.

Obudził się obolały. Otworzył oczy i rozejrzał się dyskretnie po pomieszczeniu, w którym leżał. Było całkowicie białe, nikogo nie było, a na tle ścian wyróżniały się tylko lekko wielkie metalowe drzwi, które były białe jak i cały pokój. Gdy spojrzał w prawo, zauważył, że jego ramię jest w jakimś przezroczystym pojemniku, ale nie to go zmartwiło. Zmartwiła go jego ręka. Pamiętał, że gdy ocknął się po uderzeniu w twarz, na ręce zaraz za nadgarstkiem miał trzy głębokie zadrapania szerokie na dobre dwa centymetry, a teraz nie było po nich śladu. Ale z ręką i tak coś było nie tak. Była zdecydowanie bardziej umięśniona niż wcześniej, a żyły bardzo widoczne. Szarpnął nią i, łamiąc pojemnik, wy dostał ją. Zacisnął kilka razy palce i obejrzał ją dokładnie. Nagle wpadł na pomysł sprawdzenia, o ile silniejszy ma teraz ścisk. Rozejrzał się za

czymś trwalszym i znalazł. Szkielet łóżka, na którym leżał, był zrobiony z metalowych rurek pomalowanych na biało. Objął jedną rurkę i zacisnął dłoń. Nie mógł uwierzyć w to, co zobaczył – zgniótł metal jak kartkę papieru.

Nagle usłyszał jakiś alarm. Szybko odłączył od siebie aparaturę i schował się pod łóżkiem. W pokoju zabrzmiał zgrzyt rygli wielkich drzwi i wbiegło dwóch wysokich mężczyzn z pałkami policyjnymi, hełmami i nożami przy pasach na biodrach. Ubrani byli na czarno, co sugerowało, że byli ochroniarzami tego budynku. Vincowi szybko przeleciała przez głowę myśl, że nie jest to zwykły szpital, skoro jest tu taka ochrona. Postanowił dotrzeć po kryjomu do dyrektora tego budynku i przeprowadzić z nim małą pogawędkę. Gdy mężczyźni podeszli do łóżka, Vinc wyciągnął rękę w stronę nogi jednego z ochroniarzy

i przyciągnął ją do siebie. Mężczyzna stracił równowagę, a Vinc wysliznął się spod łóżka, wyciągając nóż z pasa osiłka i błyskawicznie poderżnął mu gardło. Krew trysnęła na ścianę i twarz Vinca. Drugi strażnik wrzasnął *STÓJ!* Vinc wykonał zamach ręką i rzucił nożem, trafiając w gardło drugiego przeciwnika. Mężczyzna złapał się za szyję, krztusząc się krwią, a Vinc podszedł do

niego, wyjął mu nóż z gardła i dźgnął go nim dwa razy w brzuch. Vinc planował, co teraz zrobić. Na pewno musi „porozmawiać” z dyrektorem tego ośrodka. Drzwi były otwarte, więc miał jak stąd wyjść. Odwrócił ciało i sprawdził, jakie logo ma na kombinezonie. Był tam niewielki znaczek z napisem *Pandemonic*. Vinc nie znał takiej organizacji, ale był pewien, że rozmowa z właścicielem wiele mu wyjaśni. Wziął nóż i ruszył ku wyjściu, gdy nagle wyskoczyło trzech strażników. Jeden z nich powiedział: *Idziesz z nami*. Vinc pomyślał, że na pewno zaprowadzą go do dyrektora, a nawet jeśli zaprowadzą go gdzie indziej, to i tak zdoła uciec. Został jeszcze nóż, nie wiedział, gdzie go schować. Rzucił go więc na podłogę. Ochroniarze tylko go skuli.

### Rozdział IV

Tak jak się spodziewał, zaprowadzili go do windy i pojechali na samą górę. Vinc dyskretnie spojrzał na guziki i zauważył, że ochroniarz wciska numer dziesięć. Najniższe piętro, na którym najprawdopodobniej się znajdowali, było oznaczone minus pięć. Gdy drzwi się otworzyły, Vinc zobaczył długi, szeroki korytarz \z drzwiami po bokach i na końcu. Skorzystał z okazji, że nie było nikogo na korytarzu – napiął mięśnie w rękach i rozrwał kajdanki. Prawą ręką wy-



jął nóż z za pasa ochroniarza będącego po prawej i błyskawicznym ruchem dzgnął mu go w lewy bok. Mężczyzna zgiął się i upadł na podłogę, brudząc ją krwią. Vinc zamachnął się tym razem w lewo i wbił nóż strażnikowi pilnującemu go po prawej. Mężczyzna, który pilnował go z tyłu, rzucił się do ucieczki. Vinc wyjął nóż z ciała leżącego po prawej i ruszył za strażnikiem. Gdy był dość blisko, skoczył na ścianę po prawej, odbił się od niej i rzucił na ochroniarza, wbijając mu nóż w plecy. Spojrzał na drzwi na końcu i ruszył w ich stronę. Były zamknięte, więc wyważył je kopnięciem z półobrotu, tak jak robił to Chuck Norris.

Gdy wszedł do pokoju, oślepiło go światło słoneczne bijące przez oszkloną ścianę. Gdy Vinc odzyskał już ostrość widzenia, podszedł do biurka, za którym siedział jakiś mężczyzna. Mężczyzna uprzedził pytanie Vinca: *Tak, jestem tutaj szefem. Mam na imię John. Vinc, o co chciałeś zapytać?* Vinc był zaskoczony tym, że John zna jego imię, ale zapytał: *Co zrobiliście z moją ręką i co to w ogóle za organizacja PANDEMONIC? Mężczyzna westchnął: Jestem dyrektorem organizacji zajmującej się badaniem zjawisk nadprzyrodzonych. Coś podobnego do rządu i strefy pięćdziesiąt jeden, ale nie działamy dla państwa. A co do twojej ręki, to przez wilkołaka... Masz szczęście, że zdążyliśmy cię tu zabrać ze szpitala, bo sam byś się nim stał. Odizowaliśmy częściowo twoje ramię od reszty ciała. Vincowi chodziło jednak po*

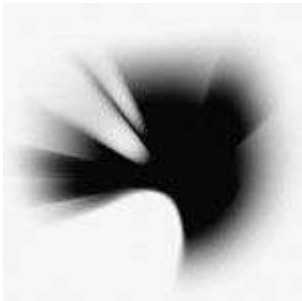
głowie jeszcze jedno pytanie: *Skąd znasz moje imię i skąd wiesz o wilkołakach?* John nie był pewien, czy mówić prawdę, ale zebrał się w sobie i zaczął mówić: *O wilkołakach wiem od twojego wujka Leo, a twoje imię znam, od kiedy zacząłem cię śledzić. Śledzę cię, od kiedy uciekłeś do wujka. Pomyślałem, że jak podrośniesz, będę mógł wykorzystać cię do eksperymentów nad przemianą człowieka w wilkołaka. Pierwszym krokiem, jaki zrobiliśmy, było poznanie anatomii wilkołaków. Było kilka ofiar, ale opłacało się. Potem potrzebowaliśmy królików doświadczalnych do prób powstrzymywania przemian i cofania ich skutków. Pewien mężczyzna powiedział, że może nam takiego królika załatwić, więc bez wahania przyjąłem propozycję. Gdy wylądowałeś w szpitalu, zadzwonił do mnie i powiedział, gdzie jesteś. Mówił, że jest twoim ojcem. Vinc przerwał mu, podchodząc i rozłamując biurko na pół: *Gdzie jest ciało mojego wujka?!* John z przerażeniem powiedział: *W kostnicy przy szpitalu, w którym leżałeś. Twój ojciec powiedział mi coś jeszcze... Powiedział, że zabijał twojego wujka powoli i że bawił się przy tym jak nigdy. Vinc w szale gniewu złapał Johna za koszulę: *Jak już będziesz na tamtym świecie, to przyślij mi pocztówkę i wyrzucił go przez okno. Nagle zobaczył, że korytarzem biegną strażnicy. Jeden z nich krzyknął: STÓJ I NIE RUSZAJ SIĘ!.* Nie miał innej drogi ucieczki. Wyskoczył oknem.**

Filip Biesalski

## Muzyka AD 2010

Zakończyliśmy już rok 2010. A cóż to był za rok... W muzyce jak zwykle działo się sporo, w minionym roku światło dzienne ujrzało kilka bardzo ciekawych i sympatycznych płyt różnych wykonawców (choć daleko mu chociażby do 1979 roku...).

A zatem kilka pozycji wybranych bez ładu i składu, za to mogących się spodobać tym, którzy... lubią klimaty rockowe i pochodne, choć jak powszechnie wiadomo muzyka łągodzi obyczaje i nie powinniśmy zamykać się tylko w obrębie własnych upodobań. Bo zawsze za rogiem czai się coś ciekawego... :)



### 1. Linkin Park – A Thousand Suns

Powiedzmy sobie szczerze – nie jest to płyta wybitna, jednak ma szansę wybić się ponad przeciętność. Chłopaki z USA niewątpliwie wiedzą, co to dobra muzyka, jednak ten krążek z pogranicza rocka i popu nie każdemu się już spodoba. Pierwsze wrażenie jest raczej mdłe, ale lekarstwem na to jest... następny raz. Drugi, potem trzeci i tak dalej, co może

zatrzeć zaskakująco dużą ilość różnych niedociągnięć i niedoróbek. W każdym bądź razie, co by tu nie mówić, przesłuchać warto, choćby dla samej klasy zespołu, ale to już temat na osobny artykuł...



### 2. Fear Factory – Mechanize

Natomiast tutaj mamy mocny wjazd już 20-letniego amerykańskiego zespołu death-metalowego. Naprawdę potężna dawka energii, choć również nie dla każdego. Jeśli ktoś chce zacząć słuchać cięższych brzmień, to tej akurat płyty nie polecam, ale jeśli ktoś lubi ostrą metalową sieczkę, to będzie zadowolony. Przyznam, że takie cudo z FF należało się, zwłaszcza po ostatnich konfliktach wewnątrz zespołu. Niemniej jednak pokazuje to, że muzycy pomimo upływających lat umieją jeszcze wykrzesać z siebie „tego czegoś” bardzo, bardzo dużo, co dobrze wróży nam na przyszłość :)



### 3. Serj Tankian – Imperfect Harmonies

No cóż. Na to, że jeszcze kiedyś usłyszymy Ormianina w konwencji „soadowej” chyba już nie ma co liczyć, co zresztą potwierdziła pierwsza płyta Serja „Elect of Dead”. Niemniej jednak, krążek wzbudził spore zainteresowanie i tak zwyczajnie – po prostu się podobał. Teraz jest jeszcze ciekawiej, choć nie można oprzeć się wrażeniu, że poprzednie dzieło było lepsze. Tutaj jest za to ogromna różnorodność. W pełnym tego słowa znaczeniu, co akurat jest niewątpliwym plusem płyty. Rockowo, symfonicznie, radośnie i smętnie... Każdy znajdzie coś dla siebie.



### 4. The Black Keys – Brothers

Następna bardzo zróżnicowana płyta. Tyle że tutaj mamy już dość tradycyjne rockowo-bluesowe brzmienie w dość ciekawych aranżacjach. Pomimo wstępnego odczucia ogromnego ascetyzmu tej płyty, nie można oprzeć się wrażeniu, że ta płyta ma „to coś”. Dość powolne tempo i ogromna hipnotyzująca moc tej płyty sprawiają, że chce jej się słuchać i jeszcze raz i następny...



### 5. 30 Seconds To Mars – This Is War

Następna kolejna mocna płyta od tego amerykańskiego zespołu. Generalnie nie można jej niczego zarzucić, naprawdę chwytliwe utwory, które zapadają na długo w pamięć. W zasadzie nie wiem co konkretnie o niej napisać, bo żeby ją „poczuć” trzeba jej posłuchać, bowiem jest to płyta z gatunku smętnych, które ludzie słuchają

jak im źle w życiu idzie... Nie mniej jednak, jeśli naprawdę do nich adresowany jest ten krążek, to wszyscy, którym się w życiu układa też nie powinni być zawiedzeni, chociażby za znakomite „Hurricane” i „Closer To The Edge”.



### 6. COMA – Excess

„Hipertrofia po angielsku” – to chyba najczęstszy komentarz do tej płyty. Cóż, ilu ludzi, tyle opinii, ale trzeba przyznać, że choć Rogucki czasem wręcz po „ciemnogrodziańsku” kaleczy ten język, to już pod względem muzycznym potrafi porwać. Nie ma tu jakichś eksperymentów czy wymyślanek. Po prostu stara, dobra COMA, jaką znamy od „Pierwszego Wyjścia z Mroku”. I to również jest plus.

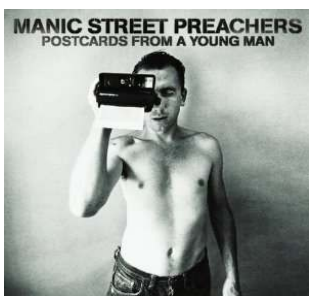
Obowiązkowy kawałek dla wszystkich, „F.T.M.O”, jest wręcz jakiś magiczny i można go słuchać aż do nienadchodzącego znudzenia... A może to po prostu dlatego, że ja też lubię Comę :)



### 7. Kings of Leon – Come Around Sundown

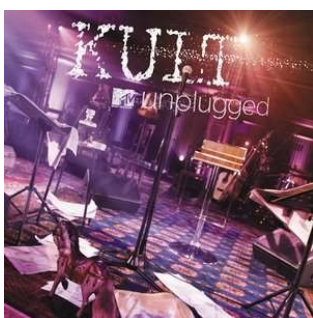
Kings of Leon znów w dobrej formie. Po dość przeciętnym ostatnim „Only By The Night” swoiste odrodzenie amerykańskiej formacji, która na status legendarnej jeszcze sobie nie zasłużyła, ale kto wie, kto wie... „CAS” to płyta, w której słychać żal i tęsknotę... Do końca nie wiadomo, za czym, ale jeżeli ktoś ma chwytliwe serce, to niewątpliwie to małe cudenka porwie go w całości. Jeśli jednak ktoś jest bardziej gruboskórny, to też się w niej odnajdzie, ot chociażby w takim „Pyro”, której z czystym sumieniem można przypisać etykietkę piosenki łączącej pokolenia.





### 8. Manic Street Preachers – Postcard From a Young Man

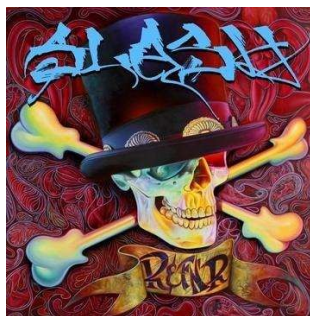
Co bym tu nie napisał, będzie to totalnie subiektywne i nieoddające rzeczywistości. Do MSP mam ogromną słabość i zawsze, kiedy tylko pojawi się jakiś nowy ich utwór, rumienię się z niecierpliwości, tak więc nowa płyta tego zespołu to kolejny powód do świętowania. Oczywiście jak każda pozycja ma swoje wady, a to niechwytliwy kawałek, a to nieodpowiedni wokół, a to za słaby riff. Jednak ten krążek (jak zresztą też wszystkie poprzednie) polecam wszystkim tym, którzy rocka i muzykę rockową kojarzą głównie z naćpanymi satanistami grającymi na 40 progu gitary. MSP pokazuje, że tak nie jest i że można wyjść na scenę w dżinsowej kurtce:)



### 9. Kult – MTV Unplugged

W zasadzie to... nic nowego. Stare, dobre, znane piosenki

Kultu, tyle że w wersji „na żywo”. Mimo że wszystko już gdzieś było, to naprawdę z wielką przyjemnością się jej słucha. Teksty jak to teksty – mówią samą prawdę o naszej rzeczywistości, tak więc nie można im wiele zarzucić, a że w dodatku głos Kazika jak zwykle w dobrej formie, to mamy – panie i panowie – do czynienia z czymś zaiste niezwykłym. Z czymś, czego nie można przegapić, zwłaszcza jeśli ktoś lubi taki klimat starego, zadymionego pubu, w którym niejeden muzyk zaczynał karierę.



### 10. Slash – Slash

Arcydzieło. I to by już w zasadzie wystarczyło. Slash jak to Slash, wirtuoz gitary, potrafi robić na niej rzeczy, które się naszym patofizjologom nie śniły. Jedyne wady tej płyty to wokół. Czasami wręcz mdlący, jednak raczej nie dla wokalu się tej płyty słucha. Pomijając aspekt śpiewaczy, otrzymujemy kawał dobrej muzyki gitarowej, która potrafi zachwycić i zauroczyć. Jaka szkoda, że Miłkołaj w tym roku nie był taki pomysłowy...

A więc to by było to. Przepraszam, że nie umieściłem tu płyt Justina B. czy Seleny G., ale już naprawdę nie wystarczyłoby mi miejsca...

Jednym słowem można uznać, iż miniony rok był dla nas łaskawy. Było na czym zawiesić ucho, było też i z czego odwieścić. A nam teraz nie pozostaje nic innego jak życzyć sobie wielu, wielu nowych mocnych płyt w 2011 roku. Ave!

*Kamil Fijałski*

Zachęcamy Was do dzielenia się z nami Waszymi uwagami, spostrzeżeniami.  
Zapraszamy również do przyłączenia się do redakcji



Mateusz Jaromin

**Autorzy tego numeru**  
(wg kolejności alfabetycznej)

**Skład/grafika:**

K. Konstantinow

**Redakcja:**

P. Bałdyga

F. Biesalski

O. Bodek

P. Boruta

B. Charzyński

K. Fijalski

M. Gerasik

D. Gołębiowski

K. Kołodziejczyk

M. Kornatowski

E. Kozłowska

J. Kruszyńska

A. Magnuszewski

Ł. Magnuszewski

M. Markiewicz

J. Matusiewicz

K. Milczarek

M. Lutomirska

A. Olejniczak

D. Pietruszewski

A. Piórkowska

A. Rachobińska

A. Rzewińska

K. Sarzalska

A. Sienkiewicz

J. Stolpa

R. Szymański

Sz. Zwierew

**Opieka merytoryczna:**

M. Domańska

B. Dzitowska



**Autorzy tego numeru**  
(wg kolejności alfabetycznej)

**Skład/grafika:**

K. Konstantinow

**Redakcja:**

Ł. Białorucka

E. Kleniewska

K. Konstantinow

M. Kornatowski

A. Magnuszewski

M. Markiewicz

A. Pałac

M. Polska

K. Przybyszewski

P. Radomska

R. Szymański

Sz. Zwierew

**Opieka merytoryczna:**

M. Domańska

B. Dzitowska